MYŚL NARODOWA



TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 48. WARSZAWA, 12 LISTOPADA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

CZY TYLKO NĘDZA?

NIEDAWNO rozlepiano na ulicach miast niemieckich oryginalne afisze: na mapie Niemiec siedziało smutne i mizerne niemowlę — na mapie Polski niemowlę wesołe i ładnie rozwinięte. Miał to być symbol zwycięskiej dla nas wojny kołysek, apel do narodu niemieckiego, by nie zmniejszał sztucznie przyrostu naturalnego.

Dziś, niestety, afisze te straciły nieco na aktualności. Nie mamy się czem szczycić — utraciliśmy jeżeli chodzi o przyrost naturalny — jedno z czołowych miejsc w gronie narodów. Stało się to tak nagle, że opinja publiczna nie zdążyła poprostu zauważyć zmiany, która zaszła.

W ciągu pierwszego półrocza bieżącego roku przyrost naturalny w Polsce wynosił 184.975 osób, czyli 11,4 na tysiąc w stosunku rocznym. W pierwszem półroczu ubiegłego roku przyrost naturalny w Polsce wynosił 229.745 osób, to jest 14,3 na tysiąc w stosunku rocznym. Wzrosła w tym czasie ilość zgonów z 243 tysięcy do 252 tysięcy, ale przedewszystkiem spadła ilość urodzeń z 472 tysięcy do 437 tysięcy.

A jak było dawniej, w latach tak zwanej dobrej konjunktury?

W 1930 roku 16,7 na tysiąc, w 1929 roku 15,3, w 1928 r. 15,9, w roku 1925 aż 18,5 na tysiąc.

Statystyk może łatwo uspokoić obawy: przyrost naturalny spada, ale zmniejsza się również emigracja—stąd ludności przybywa obecnie w Polsce więcej, niż przed paru laty.

Naprzykład we względnie pomyślnym (początek kryzysu) roku 1930 przyrost naturalny wynosił 525 tysięcy osób, nadwyżka emigracji nad reemigracją 117 tysięcy, stąd przyrost liczby ludności 408 tysięcy. W roku 1932 przyrost naturalny spadł wprawdzie do 449 tysięcy, ale nadwyżka emigracji nad reemigracją zanikła, a nawet, przeciwnie, mieliśmy znaczną nadwyżkę reemigracji w ilości 17 tysięcy osób. Zatem ilość ludności wzrosła w tym roku o 466 tysięcy, czyli znacznie silniej niż w 1930 r.

Wzrost liczby ludności, który obliczamy, dodając do przyrostu naturalnego nadwyżkę reemigracji nad emigracją, bądź odejmując od niego nadwyżkę emigracji nad reemigracją, przedstawia się w ostatnich latach w sposób następujący:

Rok	1928	418	tysięcy
„	1929	335	„
„	1930	408	„
„	1931	459	„
„	1932	466	„

Widzimy zatem, że w ciągu ostatnich czterech lat wzrost liczby ludności (nie przyrost naturalny!) jest coraz szybszy. Wydawałoby się zatem, że wszystko jest dobrze. Statystyk może być zadowolony.

Ale to są tylko pozory. Nie idzie o to, jaki jest wzrost ludności w poszczególnych latach, ale o to, czy przypadkiem nie zmieniają się obyczaje w Polsce...

Nadwyżka reemigracji nad emigracją jest napewno zjawiskiem przejściowem. Tymczasem spadek liczby urodzeń bywa niekiedy zjawiskiem o wiele trwalszem.

Doświadczenia Francji wykazują naprzykład, że gdy raz zacznie się spadek liczby urodzeń, to bardzo trudno go zahamować, jeżeli jest on wynikiem nietylko przesilenia i nędzy, ale także przyjęcia przez szerokie rzesze ludności poglądu, że

wygodniej jest mieć mało dzieci i... wyciągnięcia wniosków z tego poglądu.

Warto przyjrzeć się liczbom międzynarodowym, obrazującym naturalny ruch ludności, by przekonać się, czy przypadkiem szybki spadek liczby urodzin w okresie kryzysu nie jest zjawiskiem powszechnem. Jeden z ostatnich zeszytów „Wiadomości Statystycznych“ zawiera dane porównawcze z jedenastu krajów. Otóż przyrost naturalny spadł w pierwszym kwartale roku bieżącego w porównaniu do pierwszego kwartału roku ubiegłego w 10 krajach, wymienionych w powyższej statystyce, wzrósł tylko w jednym, to jest w Australji.

Rozmiary jednak tego spadku są największe w Polsce. Gdy bowiem pierwszy kwartał ubiegłego roku dał nam nadwyżkę urodzin nad zgonami w wysokości 15,5 na tysiąc w stosunku rocznym, to w pierwszym kwartale bieżącego roku nadwyżka ta wynosiła tylko 10 na tysiąc. Relatywny spadek przyrostu naturalnego wynosił zatem w Polsce 5,5 na tysiąc, gdy w Anglji 2,1 na tysiąc, we Francji 2,2 na tysiąc (te dwa kraje mają nadwyżkę zgonów nad urodzeniami), w Czechosłowacji 4, w Holandji 1,1, w Niemczech 2,7, w Portugalji 2,5, na Węgrzech 0,9, we Włoszech 1,1, w Kanadzie 1,7.

W zakresie ruchu ludności, tracąc rekord wysokości przyrostu naturalnego, odrazu zdobyliśmy inny rekord: szybkości spadku tego przyrostu. Dla zrozumienia grozy tych cyfr trzeba przeprowadzić jeszcze jeden prosty rachunek. Gdyby w najbliższych latach przyrost naturalny spadał w tem tempie, jak w pierwszym kwartale r. b. w zestawieniu z pierwszym kwartałem roku ubiegłego (z 15.5 na tysiąc na 10.0 na tysiąc), to w ciągu dwu lat mielibyśmy nadwyżkę zgonów nad urodzeniami, czyli naturalny ubytek ludności.

Już drugi kwartał bieżącego roku był nieco lepszy. Przeprowadzając analogiczne obliczenie na podstawie przyrostu naturalnego w pierwszem półroczu roku bieżącego i 1932-go, dochodzimy do wniosku, że będziemy mieli naturalny ubytek ludności dopiero za... cztery lata.

Wówczas nic już nie pomoże powrót reemigrantów...

Jesteśmy głęboko przekonani, że do takiej katastrofy nie dojdzie. Wierzymy, że jednak główną przyczyną spadku liczby urodzeń jest nędza, że spadek ten zostanie zahamowany. Ale trzeba czuwać nad tem, by w okresie kryzysu nie utrwaliły się w Polsce złe obyczaje, by szerokie rzesze ludności nie dawały posłuchu hasłom, których celem jest podcięcie najpewniejszej rękojmi przyszłej przodującej roli Polski w Środkowej Europie, — naszego przyrostu naturalnego.

WOJCIECH ZALESKI

ENCYKLOPEDJA WŁOSKA O ŻYDACH

PRZED kilku miesiącami „Gazeta Warszawska“ w numerze z 6 lutego b. r. zwracała uwagę na obszerny artykuł o żydach, zamieszczony w obecnie wydanej, przy poparciu czynników rządowych, wielotomowej „Encyklopedji Włoskiej” („*Enciclopedia Italiana*“). Zbiorowy ten artykuł, zamieszczony w tomie XIII, opracowany przez najwybitniejszych hebraistów i odsłaniający dużo nieznanych szczegółów historji Izraela, nie powinien pozostać nieznanym w Polsce. Podajemy zatem kilka wiadomości o poszczególnych zagadnieniach, opracowanych w wymienionym artykule.

I. ANTROPOLOGJA

Po zestawieniu statystyki żydowskiej, o której niedokładnościach była już mowa w wyżej wymienionym artykule w „Gazecie Warszawskiej”, następuje artykuł Gioachino Sera, profesora antropologji na uniwersytecie w Neapolu. Opiera się on głównie na pracy L. Livi: „*Gli Ebrei alla luce della statistica*“ (Firenze 1918). Tezą tego artykułu jest twierdzenie, jakoby nie istniała ani odrębna r a s a, ani też t y p, któryby odpowiadał wyłącznie żydom. Zdaniem autora trudno jest określić typ żyda, ponieważ jest on inny w zależności od terytorjum, które zamieszkuje, w zależności od warunków ekonomicznych i społecznych, w których pozostaje. Niski wzrost, uważany przez wielu antropologów za główną cechę rasy żydowskiej, jest, zdaniem autora, wynikiem nie tyle właściwości rasy, ile raczej pewnych ujemnych warunków rozwoju, w których pozostają najniższe środowiska żydowskie. Badania natomiast różnych typów i grup żydowskich miały wykazać, że przeciętny wzrost żyda europejskiego nie różni się od przyjętej normy dla wzrostu średniego, wynosi bowiem 1,65 mtr. Polemizuje pozatem przeciwko przypisywaniu żydom brachikefalizmu, uważając tę cechę za charakterystyczną jedynie tylko dla pewnych grup, polemizuje również przeciwko poglądom na temat nosa żydowskiego i charakterystycznego kształtu kończyn.

Wszystkie te jednak dowody potwierdzają raczej niż osłabiają twierdzenie, że mówić można o właściwościach antropologicznych żydów i o odrębnym t y p i e ż y d o w s k i m. Bez odwoływania się nawet do zdolności intuicyjnego odróżniania typu żydowskiego od typów aryjskich, sam autor usiłuje sprecyzować, na czem polega odrębność konstytucyjna żydów i wyodrębnia wśród nich dwa jakby typy rasowe. Pierwszy — to typ ciemny semicki, typ żyda południowo-wschodniego, dawniejszy, przypominający arabów beduinów i afrykański typ etjopów, drugi — typ jasny, późniejszy, zdaniem niektórych historyków i antropologów wytworzony w średniowieczu w czasie rozproszenia i zmieszania się z obcemi środowiskami. Zdaniem autora, oba te typy miały już istnieć przed rozproszeniem w Palestynie.

A zatem w wywodach autora artykułu zachodzi wyraźna sprzeczność: chcąc walczyć przeciwko twierdzeniu o odrębności rasowej żydów, sam do-

chodzi do uzasadnienia tego twierdzenia i do określenia w obrębie rasy żydowskiej dwóch zasadniczych typów. Do czego zatem służy taka kryptomanja? Czy w tym wypadku ma również chodzić o nieujawnianie w stosunku do społeczeństw europejskich innych różnic, jak tylko wyznaniowych?

II. HISTORJA STAREGO TESTAMENTU W OŚWIETLENIU WSPÓŁCZESNEJ HISTORJOGRAFJI ŻYDOWSKIEJ

G. Levi della Vida, wybitny uczony żydowski, znawca historji starożytnego Wschodu, omawia w artykule, zajmującym 27 wielkich kolumn „Encyklopedji" (XIII. 331-334), historję żydów od czasów najdawniejszych do końca niewoli babilońskiej. Okres ten obejmuje ogromną przestrzeń chronologiczną, od Abrahama (k. 2.000 r. przed Chr.) do edyktu Cyrusa w r. 538 przed Chr.. Stojąc na stanowisku krytyki pozawyznaniowej w zakresie zagadnień chronologicznych, jak również w opisie poszczególnych epizodów historji Izraela, biorąc jednak pod uwagę charakter historjozoficzny historji biblijnej, autor daje szereg akcentów, ułatwiających zrozumienie istoty żydostwa jako jednostki religijno-politycznej, o wyraźnym charakterze etnicznym i kulturalnym.

Zdaniem autora, znaczenie Izraela w historji świata starożytnego nie miało polegać na żadnej wybitnej roli politycznej. Nie odznaczając się żadną ekspansją terytorjalną, nie mając stąd specjalnego znaczenia politycznego na wschodzie, żydzi popadają w zależność polityczną od innych państw: Egiptu, Babilonu, Persów, Macedończyków i Rzymu. Mimo to jednak zdołali zachować swoją odrębność religijną i narodową, oraz przetrwać niewolę. Świadomość narodowa, która, według autora, położyła kres niewoli, zwyciężyła jako świadomość religijna, której źródłem było „Prawo", dane przez Boga narodowi żydowskiemu. Historja Izraela to jest historja misji, danej przez „Boga Abrahama, Izaaka i Jakóba" i objawionej po raz wtóry „wielkiemu wodzowi (*condottiere*) i prawodawcy Mojżeszowi". Historja Izraela jest zatem jego historjozofją, aczkolwiek nie została sformułowana i spisana w języku filozoficznym.

W takiem ujęciu poszczególne fakty z historji starożytnego żydostwa wyjaśniają nam zasadnicze problemy jego bytu. Z pośród licznych, znanych faktów z historji Izraela następującym przyznaje autor specjalną wagę jako takim, których wyjaśnienie dotyka istoty judaizmu. Należy do nich przedewszystkiem najdawniejsza historja wędrówek Abrahama — fakt ustalenia się szczepu pierwotnie koczowniczego w Palestynie. W tej dziedzinie jest rzeczą znamienną, że gdy Abraham jako wódz plemienia, mającego już mieć, w myśl poglądów wymienionego historyka, pewną świadomość swej przyszłości, dosięgnął—po wędrówkach po Azji mn. i Egipcie—Palestyny, kraj ten był zamieszkały przez inne ludy, z czasem zwyciężone i zunifikowane przez synów Przymierza.

Do tych najważniejszych faktów historji Izraela należy prawodawstwo Mojżesza, które stało się osią całych jego dziejów. Dalszym ciągiem w tworzeniu podstaw pod rozwój późniejszy plemienia była organizacją polityczno-religijna za czasów Sędziów i reforma prawodawstwa Mojżesza w VII wieku, t. zw. powtórzenie Prawa (*Deuteronomium*), uważana przez autora za najważniejszy wypadek po założeniu pierwszej świątyni Salomona. Obok tych pierwszorzędnych dla historji żydostwa faktów o charakterze pozytywnym, omawia autor dość obszernie dwa fakty o charakterze raczej negatywnym: rozprzężenie się pierwotnego ustroju teokratycznego za czasów monarchji i powstanie w związku z tem nieznanego w poprzednich okresach historji Izraela konfiktu władzy cywilnej i religijnej, oraz ukazanie się jeszcze w IX wieku proroków, propagujących inne rozumienie Boga, religji i celów narodu. Religja proroków miała, zdaniem autora, doprowadzić do największego kataklizmu w historji żydostwa t. zn. do Chrześcijaństwa.

Bardzo są interesujące uwagi autora na temat organizacji teokracji żydowskiej za czasów Sędziów. Wartość tego ustroju polegała przedewszystkiem na zjednoczeniu władzy religijnej z władzą cywilną, którą objęta była władza polityczna, prawodawcza, sądowa i wojskowa. Ustrój ten był przystosowany do typu życia koczowniczego, zapewniał też uniknięcie konfiktu między zarządem religji a kierownikami politycznymi narodu. Rządy Sędziów—to rządy Synedrjonu, kolegjum 70 „starszych z narodu", wybranych przez Mojżesza, następnie kooptowanych kolektywnie.

Historja starożytna żydów świadczy najwymowniej o fakcie, że nie chcieli oni zadowolić się egzystencją na pewnem określonem terytorjum, egzystencją jednego z wielu państw starożytnego Wschodu. Nawet w okresie, gdy osiedli byli w Palestynie, nie chcieli spaść do rzędu królestw azjatyckich, w którym to kierunku zaczynały się układać wypadki za czasów Salomona, lecz dla zachowania wytkniętej przez Torę linji rozwoju woleli zerwać z monarchją i powrócić do ustroju, przystosowanego do życia koczowniczego, do rządów teokracji — Synedrjonu. Ten system niewątpliwie obiecywał im większe korzyści polityczne.

III. RELIGJA JUDAIZMU

Religja żydów przechodzi przez dwa główne okresy: okres biblijny, religja zawarta w Piśmie, i okres po-biblijny, rozpoczynający się od zburzenia Jerozolimy i od redakcji Talmudu. Podstawą religji żydowskiej obu okresów jest Tora t. zn. Prawo Mojżesza i jego wykład, spisany i przekazywany ustnie *(legge orale)*. Pierwotna religja, która nie była skodyfikowana, zostaje, za czasów Wespazjana, zunifikowana przez szkołę Szammaja i Hillela, którzy podejmują również decyzję w sprawie nierozpoznania wśród ksiąg kanonicznych Ekleziastyku, Ewangelij „i innych ksiąg heretyckich".

W krótkim, lecz pełnym ważnych akcentów, artykule, Izraele Zoller, wielki rabin Triestu, omawia religję pobiblijną. Mówiąc jednak o religji żydów, podkreślić tu należy, że istota tej religji jest czemś z natury różnem od tego, co my przez religję pojmujemy. Pojęcie religji w rozumieniu chrześcijańskiem nawiązuje do wyrazu łacińskiego *religio*, wskazującego na związek człowieka z Bogiem — stwórcą wszechrzeczy, jest ono nierozdzielne z czynnikiem wiary w istnienie Boga, w nieśmiertelność duszy, w zbawienie, w wolność woli i odpowiedzialność za czyny; religja katolicka kładzie nacisk na czynny wysiłek woli w dążeniu do doskonałości w myśl ideału religijnego, co jest nieodłączonym warunkiem zbawienia. Ostatni punkt

zwany soterjologją, uważany jest za zasadniczy dla innych religij, a więc i dla judaizmu.

W tym jednak punkcie uzewnętrznia się zasadnicza odrębność religji żydowskiej i jej stosunek do chrześcijaństwa. Zbawienie pojęte jest u żydów nie jako moralne zbawienie jednostki, lecz jako „zbawienie plemienia“, równoznaczne z wypełnieniem obietnic Yahwy. Zbawienie to pojęte jest w sposób najbardziej doczesny. By wyjaśnić, skąd takie pojmowanie religji może pochodzić, należy określić istotę judaizmu.

Judaizm, w odróżnieniu od wszystkich teologij, opartych na księgach kanonicznych, nie utrzymuje żadnego dogmatu. Mówi się w nim raczej o „podstawowych twierdzeniach myśli religijnej“. W średniowieczu jednak, w celu odgraniczenia judaizmu od chrześcijaństwa i muzułmanizmu, Mojżesz Majmonides (1135 — 1204) sformułował zasady religji judaizmu. Wprawdzie nie zyskały one rzekomo oficjalnej aprobaty, ze względu na brak autorytetów centralnych, mających o tem decydować, jednakże cieszyły się wielkiem wzięciem. Są one następujące: 1) istnienie Boga, 2) jego jedność, 3) jego duchowość i niecielesność, 4) jego wieczność, 5) obowiązek czczenia tylko Boga, a nie żadnej istoty stworzonej, 6) prawdziwość proroctwa, 7) wyższość proroctwa Mojżeszowego ponad inne, 8) boskość Tory (Prawa), 9) niezmienność Tory, 10) wszechwiedza Boga, 11) istnienie sankcji za czyny ludzkie, 12) nadejście w przyszłości Mesjasza, 13) zmartwychwstanie zmarłych. Tezy te zawierają *inclusive* całą zewnętrzną postawę judaizmu, łącznie z określeniem stosunku do chrześcijaństwa, nie zawierają jednak określenia ani istoty Boga, ani też charakteru Prawa. Uzupełnień tych, koniecznych jako pogłębienie każdej świadomości religijnej, niema też u Ch. Kreskasa (XIV w.). Dlaczego brak jest tylu wyjaśnień w judaizmie, wyjaśnia się za czasów Mojżesza Mendelssohna (1729-1786), który „utrzymywał, że judaizm nie ma dogmatów i że nie jest on nietyle religją objawioną, ile raczej prawodawstwem objawionem“.

Religja żydów jest zatem religją polityczną, a racej prawodawstwem politycznem. To też zagadnienia dogmatyczne nie odgrywają w niej żadnej zasadniczej roli, chodzi w niej bowiem raczej o strukturę organizacyjną i efektywne prawodawstwo. Właściwością religij politycznych jest pozatem, jak nas o tem poucza Levi della Vida, utożsamienie Boga z pojęciem plemienia. W tem tkwi sens religji Yahwe jako boga plemiennego, w tem też zdaje się tkwić istota mesjanizmu żydowskiego.

IV. ŻYDZI W ROZPROSZENIU

Historję żydów po zburzeniu Jerozolimy można rozpatrywać ze względu na dwa jej różne aspekty: 1) historję losów skupień żydowskich, znajdujących się w poszczególnych krajach, 2) historję teokracji żydowskiej. Oba punkty są ważne: pierwszy ze względu na stosunek społeczeństw miejscowych do żydów jako do grupy etnicznie, religijnie, kulturalnie, ekonomicznie i politycznie różnej, drugi ze względu na to, że daje możność zrozumienia znaczenia politycznego żydów po utracie niepodległości. Zajmiemy się na razie punktem drugim.

1. Rozproszenie jako forma egzystencji społecznej i politycznej żydów poza Palestyną nie była tak bardzo obce Izraelowi. Żydzi aż do czasów królewskich zachowali swój charakter koczowniczy, do którego mieli przystosowaną organizację polityczno-religijną, zwaną rządami sędziów. Z chwilą gdy na miejsce rządów sędzów przychodzi monarchja, konsekwencją jej staje się nieznany dotychczas konflikt władzy religijnej i świeckiej, oraz utracenie oryginalnego, właściwego Prawu, charakteru państwa żydowskiego wskutek asymilacji w stosunku do państw sąsiednich.

Rządy sędziów ustanowione być miały przez samego Mojżesza. Wybrał on z pośród narodu 70 starszych, tworząc w ten sposób t. zw. Synedrjon. Każdy z członków Synedrjonu stał na czele jednego plemienia, sprawując nad niem władzę polityczną, sądową i religijną. Przypuszczać należy, że za czasów rzymskich etnarcha-Nazi, a po upadku Jerozolimy egzylarcha, „który żył jak prawdziwy i właściwy zwierzchnik”, sprawowali urząd głowy Synedrjonu. Urzędy te, które były uznawane nietylko przez żydów, lecz i przez Rzymian i Babilończyków, sprawowane były przez jednostki, pochodzące z „rodu dawidowego”. Z czasem jednak władza egzylarchów ustępuje innej, gdy „prawdziwymi władcami narodu żydowskiego w Babilonji stają się kierownicy akademij, zwani Geonim“, (liczba mnoga od Gaon). Chodzi tu mianowicie o akademje rabinackie, kontynatorów t. zw. Tannaim (70 — 200), posiadaczy tajemnicy wykładu Prawa i ich następców Amoraim (200 — 500). Okres Geonim trwał od VII do XI w. Związany był zapewne z pobytem centrum teokracji żydowskiej w Babilonji, a później od VII w Sura, przed przeniesieniem się jej w XII w. do Hiszpanji i przed reformą Majmonidesa.

Nie jest łatwo na podstawie artykułu „Encyklopedji“ ustalić, w jakich ośrodkach znajdowały się centra teokracji żydowskiej w następnych stuleciach. Epizodycznie tylko ukazuje się, że jeszcze w XV wieku, przed wypędzeniem, Hiszpanja była siedzibą naczelników żydostwa, że po krótkiej gościnie we Włoszech, Turcja (Smyrna) jest ich siedzibą. Obecność tych kierowników ukazuje się czasem w Amsterdamie, a po rewolucji Cromwella w Londynie. Może na temat da się z czasem coś bardziej definitywnego ustalić.

2. Wreszcie zająć się należy historją grup żydowskich, żyjących wśród innych narodów, oraz ich stosunkiem do autochtonów. Byłoby rzeczą niezmiernie cenną nakreślić ogólne linje rozwoju i upadku żydostwa w poszczegolnych państwach, wyliczyć przestępstwa polityczne żydów i wynikłe stąd represje i prześladowania ze strony autochtonów. To jednak zadanie rezerwujemy do specjalnego studjum, zwracając na razie uwagę na kilka tylko faktów.

Losy żydów w cesarstwie Bizantyjskiem od r. 721 są, jak powiada autor artykułu „Encyklopedji“, „jednym niemal, nieprzerwanym ciągiem prześladowań i poniżeń”. Po upadku cesarstwa w r. 1453, pod panowaniem Turków, losy żydostwa oczywiście się poprawiają, co tłumaczy się zupełnie konsekwetnie faktem udziału żydów w przygotowaniach państwa osmańskiego do podboju terytorjów europejskich i faktem współdziałania w rozkładzie Cesarstwa.

Włochy od czasów Renesansu łaskawe były dla żydów. Kolonja marranów hiszpańskich osiedla

się w Livorno, poczem niedługo powraca „do wiary ojców“. Izaak Abarbanel, przywódca żydostwa w chwili wypędzenia ich z Hiszpanji, znajduje schronienie w Neapolu, a później w Apulji. We Florencji od r. 1437- żydzi osiedlają się, zyskując sobie poparcie ze strony Medyceuszów, dzięki swym możliwościom, mającym ułatwiać bardzo już wówczas rozwinięte operacje bankowe. Podobną rolę spełniają żydzi od r. 1454 w Mantui i od r. 1465 w Medjolanie, w Wenecji zaś działają już od r. 1366.

W Niemczech, jak wiadomo, dzięki Reuchlinowi i oczernieniu dominikanów kolońskich, występujących przeciwko doktrynom Talmudu, wrogim chrześcijaństwu, przez cztery wieki cieszyli się bezbrzeżną tolerancją.

Hiszpanja, w której żydzi zaczęli się osiedlać już koło 300 r., walcząca zaś przeciwko nim od r. 1233 za pomocą instytucji Inkwizycji, która prześladowała żydostwo ze względu na sprawy królestwa, skończyła definitywnie z żydami w sławnym edykcie w r. 1492. Tak więc nawet fakt istnienia na cudzem terytorjum przez 13 wieków nie odbiera autochtonom prawa do zdecydowanego pozbycia się nielojalnego przybysza.

Na zakończenie, naśladując wypróbowaną metodę wykładu metaforycznego, zacytujemy interesujące słowa Talmudu Jerozolimskiego *(Berachoth IV)*: „Rabbi Jochanan siedział i czytał przed synagogą babilońską na Cyprze: przeszedł książę, a nie powstał przed nim. Gdy nadbiegli, by go uderzyć, rzekł im książę: zostawcie go, albowiem w Prawach swego Stworzyciela zajęty był. R. Chanina i R. Jehoszua syn Lewi weszli przed oblicze prefekta Cezarei, ten zaś, witając, powstał przed nimi. Rzekli mu tedy jego doradcy: przed tymi żydami powstajesz? Odpowiedział im: ujrzałem twarz ich na podobieństwo twarzy aniołów. R. Jona i R. Joze weszli przed oblicze prefekta Antjochji, ten zaś, witając, powstał przed nimi. Rzekli mu tedy: przed tymi żydami powstajesz? Odpowiedział im: twarz ich ujrzałem w bitwie i wyszedłem zwycięscą. R. Abbun wstąpił przed oblicze króla Rzymian, a wychodząc odwrócił się do króla. Nadbiegli tedy, chcąc go zabić: lecz gdy ujrzeli dwie gwiazdy ogniste, wychodzące z jego karku, puścili go, aby wypełniło się to, co powiedziane jest: I będą widziały wszystkie narody świata, że jesteś zwany imieniem Yahwy i będą się bać ciebie“. Deut. 28. 10.

Te mistycznie brzmiące słowa implikują konkluzję niniejszego szkicu. Ilustrują one stosunek żydów do innych ludów. Widzimy tu pochwałę sprzymierzeńców, naganę i groźbę dla wrogów. Dziś jednak tym enigmatycznym słowom Talmudu przyznać możemy jedynie wartość historyczną.

TOMASZ NAŁĘCZ

KRÓLESTWO BOŻE ŚWIATA STAROŻYTNEGO

(RZECZPOSPOLITA PLATONA)

SĄ POMNIKI piśmiennictwa, które każde pokolenie na nowo odczytywać winno pod karą obniżenia swego duchowego poziomu. Trzeba to przypominać w takich czasach, jak dzisiejsze, które, olśnione zmianą warunków bytu w tylu dziedzinach, gotowe zerwać łączność z przeszłością, t. j. ze skarbnicą wszelkich dorobków i zdobyczy rodzaju ludzkiego. Szereg takich arcydzieł, powołanych do karmienia i kształcenia coraz to nowych pokoleń, jest długi, poczynając conajmniej od pieśni Homera, a poczesne wśród nich miejsce należy się niewątpliwie „Rzeczypospolitej“ Platona. Napisał prof. Zieliński głośne dzieło: „Cycero w pochodzie wieków”. Na podobne zasługiwałby Platon. Do najciekawszych jego rozdziałów należałaby historja znaczenia i wpływów „Rzeczypospolitej“, chociaż nie wydaje się, by należała ona do tych dzieł Platona, które najwięcej zaważyły w historji. Pod tym względem pierwsze miejsce zająłby bodaj tajemniczy „Tymeusz“.

Bo też główny przedmiot „Rzeczypospolitej“, budowa społeczności i możliwe jej reformy, o wiele był bardziej obcy i nieprzystępny długiemu szeregowi wieków, niżeli najzuchwalsze wzloty metafizyczne. Lecz tego powiedzieć nie można o naszych czasach. Wszakże w ostatnich pokoleniach świat nasz nietylko się oswoił z przypuszczeniem przeobrażeń społecznych, lecz aż zanadto tę myśl spopularyzował. Platon był potężnym nowatorem, odważając się na pomysł zasadniczej naprawy państwa, — dziś kandydatami na reformatorów społecznych czują się krocie ludzi, nieraz nader słabo do tego przygotowanych. Co więcej, na drogę wielkich zmian weszły najsilniej, zdawało się, zorganizowane narody i szukanie lepszych podstaw bytu stało się powszechnem. To też jest rzeczą na czasie zajrzeć do najstarszego pierwowzoru takich rozmyślań.

I

Znajdował się Platon w najpełniejszym rozkwicie swego talentu, miał za sobą „Biesiadę“ i „Fedona“, gdy mu przyszło zająć się pojęciem sprawiedliwości. Obok piękna, które się w „Biesiadzie” okazało najwymowniejszym przykładem nadzmysłowej wartości, nie było innego przedmiotu, któryby bardziej się narzucał uwadze ucznia Sokratesowego. Bo i w rozmowach tego ostatniego nie było częstszego tematu.

I tym razem nawiązuje się wymiana myśli swobodnie i pierwsze określenie sprawiedliwości pada mimochodem niejako. Wedle poety Symonidesa polega ona na oddawaniu każdemu tego, co mu się należy. Pierwsze wątpliwości, jakie się nasuwają, wydają się nowożytnemu czytelnikowi nieco może naiwne, lecz wcale nie przebrzmiałe. Do czegóż właściwie służy sprawiedliwość? Czy może zastąpić umiejętność uprawy ziemi albo choćby robienia obuwia, czy starczy za znajomość sterowania okrętem, budowania domu, gry na lutni, albo za sztukę lekarską? A jeżeli nie, to widocznie znajduje zastosowanie tam tylko, gdzie chodzi o sumienne oddawanie powierzonych depozytów. A składa się tylko niepotrzebne pieniądze. Więc sprawiedliwość potrzebna jest tylko w stosunku do rzeczy niepotrzebnych! Tak argumentować musieli dowcipnisie ateńscy, drażniąc się z Sokratesem, na pracowitem zbijaniu takich zarzutów wykształcił on swą djalektykę.

Lecz to wstępne zaledwie harce. Głębsza nuta odezwie się prędko i to w sposób przejmujący nas, w XX-tym wieku ery chrześcijańskiej. „Każdemu, co mu się należy“ brzmiało określenie — zatem przyjaciołom dobrze, a nieprzyjaciołom źle? Tu wielebyśmy dali za pewność, czy to nadal Sokrates mówić będzie, czy w jego imieniu już tylko Platon. Lecz wyrozumiałość, cierpliwość w argumentowaniu bardzo jeszcze bliskie być muszą owego umiłowanego pierwowzoru. Nieprzyjaciołom, zapewne — ale prawdziwym, czy domniemanym? Bo kto się pomyli, ten łatwo może szkodzić dobrym, a złym dopomagać. Zresztą i zwierzęta, czy psy, czy też konie, źle traktowane, stają się tylko gorsze. Więc i ludzie, którym będziemy źle czynić, coraz gorszymi i niesprawiedliwszymi stawać się będą. A jak zimno nie grzeje, a suche nie moczy, — tak sprawiedliwy nigdy nikogo mniej sprawiedliwym uczynić nie może. Więc też szkodzenie nie może być pod żadnym warunkiem cechą człowieka sprawiedliwego.

Ani Symonides, ani Bias, ani Pitakus, ani żaden inny z mędrców i ludzi błogosławionych czegoś podobnego nie twierdził napewno, lecz chyba Perjandes lub Derdikkas, lub Xerxes, lub Ismenjasz Tebańczyk, lub inny jakiś bogacz w sobie zadufany. Słowem wstępna definicja sprawiedliwości okazała się zawodna.

Lecz tu następuje zmiana scenarjusza. Świadkiem rozmowy, prowadzonej w Pireju, w domu Kefalosa, pomiędzy Sokratesem a synem tegoż Polemarchem, był Trazymach z Chalcedonu, sofista, któremu tu Platon postawi nieśmiertelny pomnik. Oddawna zdradzał on zniecierpliwienie. Gdy Polemarch broń złożył i na ostre odcięcie sprawiedliwości od wszelkiego uczynku szkodzącego się zgodził, Trazymach wybucha i „skupiony w sobie, jak zwierzę, rzuca się na tamtych, jakby ich chciał rozszarpać“.

Nie pierwszy to raz kreśli Platon sylwetę zaciekłego pozytywisty w zakresie pojęć społecznych i moralnych. Wszak w „Gorgjaszu“ Kallikles rozwija teorję, wznowioną za dni naszych przez Nietzschego, wedle której zasady moralne są tylko wymysłem słabych, chcących mocniejszych skrępować. Nie przypadek to zapewne, że tutaj Trazymach, z niemniejszą dosadnością i nie mniejszym temperamentem, wręcz odwrotnej broni tezy. Wedle niego Sokrates „dzieckiem jest, któremu niańka musi jeszcze nos obcierać“, jeżeli nie wie, że prawem w państwie każdem jest to, co wychodzi na korzyść mocniejszym i rządzącym. Pasterze owiec i wołów nie liczą się przecie z ich dobrem, lecz swoje własne mają na celu. To samo czynią mający władzę w państwach, niezależnie od formy rządu. I wogóle sprawiedliwy jest upośledzony w stosunku do niesprawiedliwego, bo ciężary zawsze znosi większe, a korzyści ciągnie mniejsze. Okazuje się to zwłaszcza, gdy człowiek do szczytu dochodzi niesprawiedliwości, która niesprawiedliwego właśnie czyni najszczęśliwszym z ludzi. Dzieje się to za pomocą zdobycia tyranji. Wówczas człowiek swobodnie rozporządza dobrem współobywateli, nietylko dorywczo, ale raz na zawsze. Stąd też nigdy nie powstają na niesprawiedliwość ci, którzy ją czynią, lecz co najwyżej tacy, którzy jej doznają.

Ta inwektywa na „idealistyczne“ mrzonki w imię realnych faktów nic nie straciła na żywości barw od lat dwu tysięcy. Lecz jakże wyglądać będzie odpowiedź Sokratesa na ten gwałtowny atak? Otóż podziwiać przychodzi i sztukę i wysoką sumienność Platona, który nie przedstawia roli Sokratesa świetniejszą i łatwiejszą, niżeli w istocie nieraz być musiała. Nie wkłada mu w usta druzgocących argumentów, któreby z miejsca zawstydziły przeciwnika. Przedstawia go jako człowieka, opartego przedewszystkiem o potęgę własnego przekonania i z niej cierpliwie i wytrwale czerpiącego wskazówki, a nie szukającego błyskotliwych argumentów, choć umiejącego też czasem wymierzyć przeciwnikowi cios najdotkliwszy, bo narażający go na śmieszność.

Jeśli korzyść mocniejszego ma być normą sprawiedliwości, to będzie chyba trzeba za taką uznać mięso wołowe, które zjada pankracjasta Polidamas, bo on jest od wszystkich mocniejszy, tak brzmi jedna ze złośliwych jego replik.

Lecz naogół, wywody Sokratesa są utrzymane w tonie innym. Jeżeli nawet interes mocniejszych ma rozstrzygać, to jeszcze powstaje pytanie, czy domniemany, czy rzeczywisty. A jeżeli ten ostatni, tedy okaże się, że sztuka rządzenia w pościgu za korzyścią własną się nie mieści. Nie wystarczy chcieć zyskać na hodowli, trzeba umieć obchodzić się ze zwierzętami. I jak z tego przykładu i innych wynika, wszelka sztuka ma to do siebie, że służy potrzebom przedmiotu, a nie tego, który sztukę wykonuje. Więc choć Trazymach twierdzi, że sprawiedliwość jest tylko szlachetnem głupstwem, to okaże się, że niesprawiedliwość podobniejsza jest do nieuctwa, niżeli do umiejętności.

Łatwo jest powiedzieć, że najlepiej rządzone miasta są najniesprawiedliwsze, bo ujarzmiają inne,—ale czy doprawdy państwo silne być może bez sprawiedliwości? Nietylko miasto lub wojsko, ale nawet szajka zbójców lub złodziejów obejść się nie może bez sprawiedliwości, bo niesprawiedliwość przynosi kłótnie i nienawiść i bójki, sprawiedliwość zaś zgodę i przyjaźń. Więc i powodzenie niesprawiedliwych zawdzięczają oni tej cząstce sprawiedliwości, która się w nich znajduje, a bez której do żadnego wspólnego działania nie byliby zdatni.

Zresztą niesprawiedliwość w pojedyńczym człowieku działa tak samo. Wzburza go wewnętrznie i czyni niedołężnym, bo nieprzyjacielem sobie i ludziom sprawiedliwym, pozbawiając duszę właściwej jej dzielności. Dlatego sprawiedliwymi są bogowie, dlatego sprawiedliwy szczęśliwy jest, a niesprawiedliwy nieszczęsny. „Taką strawą uraczyć się możesz w święto Bendidejów“ — zauważa brutalnie Trazymach.

II

Ale dyskusja nie jest wyczerpana. Sam Sokrates z niej nie jest zadowolony, zaznaczając, że nie powiedziano dotąd, czem jest sprawiedliwość, poprzestając na wykazywaniu różnych wtórnych jej cech i charakterów. W księdze drugiej nowi uczestnicy zgłaszają się do dyskusji, nowe wnosząc punkty widzenia, — Glaukon i Adejmant, synowie Arystona, a zatem bracia Platona. Chcą być przekonani nie napozór tylko, ale istotnie. A większość ludzi nie da się pociągnąć ideą dobra samego w sobie, chce patrzeć na skutki jego i stąd urok, jaki na nich wywiera widok bezkarnej niesprawiedliwości. Stąd rozpowszechnione przekona-

nie, że wszelkie urządzenia prawne znajdują się w pośrodku, pomiędzy tem, co najlepszem jest, gdy krzywdziciel uniknie kary, a najgorszem, gdy pokrzywdzony nie doczeka się pomsty. Ci, którzy nie zdołali ani jednego uniknąć, ani drugiego wyłącznie sobie zapewnić, zgodzili się z sobą na nie czynienie i nie doznawanie niesprawiedliwości. W istocie przestrzeganie sprawiedliwości sprzeciwia się ludzkiej naturze. Gdyby się drugi znalazł pierścień taki, jak ten, który trafił do rąk Gygesa Lidyjczyka, a który mu w każdej chwili zapewniał dar niewidzialności, to pokazałoby się prędko, czy jest ktokolwiek tak żelaznej woli, by pozostać przy sprawiedliwości i nigdy nie dotknąć tego, co do niego nie należy. Ani szczęśliwym, ani rozumnym by nie był, ktoby nie skorzystał z takiego daru, czyniącego go bogom podobnym.

I Glaukon idzie dalej, a słowa jego wypowiadają jedno ze śmielszych, z bardziej wnikliwych rozumowań Platona. Aby naprawdę porównywać takie rzeczy, trzeba jedną i drugą doprowadzić do bezwzględnego ich wyrazu. A pełnia niesprawiedliwości jest dopiero tam, gdzie ona sprawiedliwości odbiera nawet zewnętrzną jej postać, jak nawzajem próba sprawiedliwości dopiero wtedy następuje, gdy sprawiedliwość nawet oblicza własnego wyrzec się musi i występuje pod postacią swego przeciwieństwa. Jeżeli chodzi o widoki na szczęśliwość, to wynik nie może być wątpliwy. Sprawiedliwy, uchodzący za przestępcę i zbrodniarza, życie zakończy w męczarniach, „aby się dowiedział, że trzeba starać się nie być, lecz zdawać się sprawiedliwym". Tamten, w istocie niesprawiedliwy, lecz umiejący uchodzić za cnotliwego, zdobywszy korzyści i powodzenia wszelkie, cieszyć się niemi będzie do końca.

„Biada mi", — odzywa się Sokrates, — „jakże potężnie wykończyłeś jak gdyby posągi obu tych ludzi dla ich porównania!"

Zaś Adejmant, jakby ten argument jeszcze był niedostateczny, odwołuje się do poetów, którzy dawno wskazali, że wygodna jest droga do złego, a uciążliwa droga cnoty. Dziwnie też o bogach oni się wyrażają, obiecując darowanie wszelkich win przez ofiary, zaklęcia i gusła. A wędrowni wróżbici i śpiewacy twierdzą, że także na nieprzyjaciół ściągać można nieszczęścia przy pomocy bogów przez drobne dary i śluby, które ich czynią powolnemi. Zatem grożenie niesprawiedliwym karą bogów i losem duszy w Hadesie zupełnie jest bezpodstawne. Lepiej z niegodziwego zysku składać bogom ofiary.

Lecz największa trudność stąd pochodzi, że każdy tylko myśli o zewnętrznych skutkach i pozorach, sprawiedliwości i niesprawiedliwości, o poszanowaniu lub lekceważeniu, jakiego kto doczekać się może, a nikt uwagi nie zwraca na to, czem one są naprawdę i jakie ich bezpośrednie działanie na duszę być może. Zwraca się więc Adejmant do Sokratesa z prośbą, by tą metodą, która jedynie odpowiada obyczajowi całego jego życia, nie na pozorach poprzestając, lecz docierając do istoty rzeczy wykazał, że sprawiedliwość dobrem jest, a niesprawiedliwość złem. Sokrates, ucieszony siłą przekonań swoich młodych przyjaciół, wezwanie to przyjmuje, oświadcza jednak, że chce postąpić jak człowiek niezbyt ostro widzący, który zdaleka nie może odczytać jakiegoś napisu, a przypomina sobie, że on gdzieindziej większemi głoskami jest wyrażony. Sprawiedliwość mieszkać może nietylko w pojedyńczym człowieku, ale porówno w państwie, a państwo przecież jest czemś większem od człowieka. Tam więc może łatwiej ją będzie odszukać. Takim to sposobem rozmowa o sprawiedliwości przechodzi w rozważania dotyczące państwa.

Wiele dociekań poświęcono sprawie stosunku pomiędzy wstępem a dalszym ciągiem djalogu, z wynikiem naogół bardzo skąpym. Pozostaje nadal przedmiotem domysłów, czy Platon miał rozpoczęty djalog o sprawiedliwości, gdy postanowił zająć się sprawą zasad państwa, czy stało się to po większym czy mniejszym upływie czasu, czy nastąpiło niespodziewanie, czy też rozmyślnie. Oczywiście nikt tego nie uzna za okoliczność obojętną, ani zupełnie przypadkową, że „Rzeczpospolita", jak ją dzisiaj czytamy, rozpoczyna się od traktatu o sprawiedliwości. Jest to bardzo wymowna wskazówka, dotycząca kierunku myśli autora. Z drugiej jednak strony wiemy dobrze o Platonie, że sprawy polityczne wcale nie dorywczo i nie teoretycznie tylko go zajmowały. Żył w czasach wcale podobnych do naszych, bo nazajutrz po wielkiej katastrofie cywilizacji greckiej, jaką była wojna peloponeska. Pochodził, zwłaszcza po kądzeli przez matkę Peryktjonę, z tych możnych eupatryców ateńskich, którzy przed niewielu pokoleniami jeszcze dźwigali całą odpowiedzialność za losy ojczyzny, ale też dzierżyli w niej całą władzę. Jego domowa tradycja przeciwstawiała się niewątpliwie reformom piątego wieku, które do czasu zasłonięte świetnością czasów Peryklesa, w istocie jednak rozprzęgły rzeczpospolitę ateńską i zdemoralizowały jej obywateli, dając ambitnym wichrzycielom dostęp do namiętności tłumów. Jest szczegółem nie pozbawionym wymowy, że rodzony wuj Platona, Krycjasz, wziął udział w oligarchicznym rządzie trzydziestu tyranów i że, dając odpór zwycięskiemu Trazybulowi, poległ zarówno on, jak brat jego cioteczny Charmidas, podobnież przez Platona uczczony djalogiem.

Wolno się domyślać, że to właśnie porwało młodzieńca ku Sokratesowi, iż ten niezrównany bojownik za wszelką prawość, czy to w myśli czy w postępowaniu, tak dzielnie osadzać umiał sofistów i hodowanych przez nich demagogów. I nadziei zaważenia na losach ojczyzny Platon nie wyrzeknie się nigdy. Wszak, mając lat 70, nie zawaha się podjąć dalekiej morskiej podróży, gdy go wezwie do Syrakuz Dionizy II. Wszak jego Akademja, założona jako centrum nauczania i badań, a także trochę jako ciche schronienie dla zniechęconego stanem świata fundatora, rozrosłszy się z czasem w potężną instytucję, wywierać będzie wpływ na bieg wypadków w różnych punktach greckiego świata. Jej wysłannik Eufreusz, wstawiennictwem swem za młodym Filipem macedońskim u brata jego Peodokkasa III, — kto wie, czy nie zaważył w historji powszechnej. A na drugim znów krańcu greckich posiadłości, Akademja wyraźnego udzieliła poparcia Dionowi, i akademik Eudemos głowę położy w jego wyprawie na Syrakuzy.

W chwili gdy Platon pisze „Rzeczpospolitę", około r. 374, są to rzeczy jeszcze odległe. Natomiast wielce prawdopodobne jest, że wzrok ma już wówczas zwrócony na Wielką, zamorską Grecję i na przodującą potęgę helleńską, którą stało się państwo sycylijskie Dionizego I, znane mu z własnych spostrzeżeń. Nie należy więc sobie wyobrażać, by autor „Rzeczypospolitej", choć wolny od praktycznych zadań i obowiązków, był człowiekiem nie znającym rzeczywistości, typem oderwanego od życia uczonego, by rozwijał teorję tylko dla teorji

i zgóry był zdecydowany na pofolgowanie wyłącznie swojej wyobraźni.

To też i próba wytłumaczenia genezy państwa nader jest trzeźwa i bynajmniej od rzeczywistości nie oderwana. Człowiek sam sobie nie wystarcza, lecz wielu rzeczy potrzebuje, dlatego ludzie zakładają miasta. A w pojęciu ówczesnem gród, *polis*, jest pierwowzorem i typem politycznego współżycia. W dodatku zważyć należy, że dla Platona i jego współczesnych, zakładanie miast nie było tylko tradycją czasów mitycznych. Praktyka kolonizacji, choć od wojny peloponeskiej zamarła, żyła w pamięci wszystkich i pod panowaniem macedońskiem niebawem ożyć miała na nowo. To też brzmi to wcale realistycznie, gdy Platon o tem rozprawiać zaczyna, że do założenia miasta potrzeba rolników, rzemieślników, lekarzy, że terytorjum nie powinno być ani za wielkie, ani za małe i t. p.

Ale gdzie taka rozmaitość potrzeb zachodzi, tam obowiązywać musi dla ich zaspokojenia to, co nazwano w czasach nowożytnych podziałem pracy. „Jest rzeczą niemożliwą, by jeden człowiek wiele sztuk dobrze wykonywał". Więc nie należy pozwolić, by rymarz równocześnie chciał być rolnikiem, i tkaczem, i budowniczym, lecz ma zostać rymarzem. Oczywiście jest tu ostrze, skierowane przeciw zasadzie demokratycznej, prowadzącej do wtrącania się wszystkich do wszystkiego. Ale narazie chodzi o co innego. Potrzeba państwu biegłych w różnych kierunkach pracowników, ale potrzeba mu przedewszystkiem obrońców. Więc wysuwa się pytanie, czy do obrony powołani być powinni wszyscy obywatele, czy też specjalnie do tej czynności przygotowani. Platon pytanie rozstrzyga uwagą, że chyba nie należy troszczyć się więcej o sztukę rymarską, niżeli o wojenną. I to przekonanie o potrzebie armji zawodowej wywiera wpływ decydujący na dalszy rozwój jego myśli.

Bo nie byle jakiego typu może to być człowiek, jeżeli ma być powołany do czuwania nad państwem. Sprzeczne bowiem cnoty posiadać musi: i łagodność i odwagę. Dla swoich łagodny być musi, zawzięty na wrogów. Zdawaćby się mogło, że to jest wręcz niepodobieństwem, a jednak sama natura dostarcza podobnych przykładów. Wspomnienia młodości, może wspomnienia myśliwskie odzywać się zdają w Platonie. „Wiesz przecież",— mówi jego Sokrates, — że szlachetne psy takie właśnie mają usposobienie". Więc nie będzie przeciwnem naturze wymaganie, by kto chce zostać dobrym i prawym stróżem państwa, kochał mądrość i naukę, a zarazem pełny był zapału, i rączy, i silny".

(c. d. n.) ADAM ŻÓŁTOWSKI

KARTKI Z PODRÓŻY

I. W STOLICY DOLLFUSSA

Wiedeń, 11 października 1933 r.

WRACAMY do średniowiecza. Kto dziś wyjeżdża do Rzymu, jeśli nie w pielgrzymce? Wagon nasz mknie przez równiny mazowieckie, nie rozlegają się w nim wszakże, jak w „*Tannhäuser*'ze", pielgrzymie chóry. To jest różnica ze średniowieczem. Niejeden z nas trzyma przy uchu słuchawkę radjową i w ten wieczór jesienny, pełen swojskiego uroku, dolatują nas z oddali dźwięki już włoskie, dźwięki jakiegoś Monteverde'go czy Gluck'a, typowa południowa kantylena.

W wagonie restauracyjnym nastrój inny: siedzi tam do trzydziestu głośnych i zasobnych przedstawicieli „mniejszości". Czy to także pielgrzymka — nie do Rzymu, lecz do Palestyny? A może to nowa „odsiecz" na pomoc Dollfussowi?

Jeden z tych panów przesiada się do mojego wagonu. Zawiązuje się między nami rozmowa. Pyta, czy jadę do Włoch. Chwali Mussoliniego, wogóle demaskuje się jako faszysta na użytek wewnętrzny. Hitlera oczywiście nienawidzi, ale Mussoliniego z jego ekstratur niemieckich rozgrzesza. *Combinazione!*

— — — — — — — — — — — — —

Przyjeżdżamy do Wiednia o świcie. Budzi nas muzyka. „*Nordbahn*" w barwach polskich, zespół zaś rozkosznych panów w melonikach gra najbardziej autentyczne „*Gott erhalte*", a potem, ku rozradowaniu serc polskich, „Bartoszu, Bartoszu" w interpretacji nieco niemieckiej, coś, jak nieśmiertelne Nowaczyńskiego:

„Lieb Bartel, lieb Bartel, nur nicht desperieren!"

„*Gott erhalte*"*!* — czyżby tak mało zmieniło się we Wiedniu?

— — — — — — — — — — — — —

Kawalkada dwustu kilkudziesięciu pielgrzymów zmierza na Kahlenberg. „*Autocars*" wiozą nas wśród przepysznych winnic, w pełnem słońcu późnej jesieni. W mig stajemy przed kościołkiem Jana III-go.

Z esplanady cudowna roztacza się panorama. Mój towarzysz — pułkownik zredukowany tłumaczy nam przejrzyście „*ordre de bataille*" Sobieskiego. Patrzymy wprost na olbrzymi wąwóz, którym schodziła ku miastu husarja polska, na Dunaj, flankowany wtedy przez armję Lotaryńczyka, na „*Steffi*"'ego, który był wówczas na peryferji murów miejskich.

A potem zjeżdzamy znów ku miastu. Uwagę naszą zwraca zabawny „*cicerone*", który pilotuje nasz „*autocar*", żywe wcielenie starej Austrji, ni to Polak, ni to Niemiec, gestykulujący żywo, interpretujący okolicę i mieszający co trochę epopeję Sobieskiego z epopeją Straussa.

Zjeżdzamy coraz niżej. Już jesteśmy przed domem Beethovena: tu stały — objaśnia nasz przewodnik — namioty Kara Mustafy. Ciekawe, że w tym domu powstała właśnie „*Eroica*": na ziemi użyźnionej krwią bohaterów.

— — — — — — — — — — — — —

Wogóle kult bohaterów kwitnie w Wiedniu Dollfussa.

W Belwederze — wystawa księcia Eugeniusza, na „Secesji" — o dziwo! — krzyż (wielka wystawa sztuki religijnej). W „*Burgtheater*" grają „Legendę Habsburgów", w „*Stadttheater*" — „Młodość Franciszka — Józefa".

Schönbrunn, który zwiedzamy po Kahlenbergu, lśni się, jak za najlepszych habsburskich czasów— podziwiam pietyzm republikański w utrzymywaniu rezydencyj cesarskich.

W godzinach wieczornych Wiedeń huczy jak w ulu. Byłem tu raz ostatni po spaleniu „Pałacu Sprawiedliwości", w roku 1927, i nie poznaję ruchu, porządku, względnej zasobności. Czyżby częściowa likwidacja socjalistów tak podziałała? Sterczą wprawdzie wspaniałe budowle robotnicze, nazwane imieniem Karola Marxa, ale w mieście wieje inny duch, aniżeli sześć lat temu.

— — — — — — — — — — — —

Wszyscy prawie, z którymi rozmawiam, przewidują w bliższej lub dalszej przyszłości dojście do władzy hitlerowców. Cała młodzież ma być po ich stronie — cała *giovinezza* woła o prawdziwego dyktatora...

II. U PATRONA KRYZYSU

Assyż, 13 października 1933 r.

Polska pielgrzymka narodowa zmierza na szczyt góry assyzeńskiej.

Są pośród tych dwustu kilkudziesięciu Polaków przedstawiciele wszystkich dzielnic i stanów: czerwona chusta wieśniaczki śląskiej mieni się w pobliżu dziecka ziemi nowogródzkiej; są członkowie rodzin arystokratycznych i ziemiańskich: Czartoryskich i Lubeckich, Mycielskich i Platerów, Dzieduszyckich i Łempickich, Pułaskich i Żychlińskich; jest reprezentowane również i mieszczaństwo — warszawskie, krakowskie i poznańskie, inteligencja, lud.

Po drodze — Trazymen przegląda się jeszcze w promieniach słonecznych, które łuszczą szmaragdowo spienione wiatrem zachodnim fale jeziora i przepajają ultramaryną dalekie tło gór umbryjskich, średniowieczna za to Perugia zasnuwa się w chmurny już mrok.

Przy przyjeździe do Assyżu, z poza góry św. Franciszka, Subasia, pada na krajobraz, jakby reflektor fantastyczny, promień „brata-słońca". Przed esplanadą bazyliki — Umbrja pławi się w zwyczajnym kolorycie jesiennym o rannych tych zorzach, które wielbi tymczasem w krypcie św. Franciszka pieśń pielgrzymia.

— — — — — — — — — — — —

Bo pielgrzymi zwarli się już koło grobu „Biedaczyny".

Gdy go w nim chowano, na świecie szalał też kryzys, kryzys powojenny. Długoletnie wyprawy krzyżowe na Wschód, wypełniające cały wiek XII, przepoiły były właśnie Europę wyższą natenczas kulturą tego Wschodu, ale zarazem, wytwarzając po raz pierwszy od czasów rzymskich cywilizację urbanistyczną, wywołały pośrednio owe różnice ekonomiczno-społeczne, które w rezultacie doprowadziły do kryzysu socjalnego.

— — — — — — — — — — — —

Biegną więc modły pielgrzymów polskich o wstawiennictwo tego świętego, o którym mawiali współcześni, że nawet wtedy, kiedy Bóg „odwróci twarz" od modłów grzesznika, potrafi jeszcze św. Franciszek ubłagać miłosierdzie Boże.

Płyną więc pod sklepienia krypty średniowiecznej pienia „Suplikacyj", zaklinające łaskę Bożą o odwrócenie głodu i wojny, potem zaś niezmordowany dyrektor pielgrzymki, kanclerz kurji prymasowskiej, ks. Janicki, objaśnia zebranym historję Assyżu, związaną także i z Polską, skoro z Assyżu właśnie papież Innocenty IV obwieszczał niegdyś kanonizację biskupa Stanisława.

III. *„ROMA IMPERIALE"*

Rzym, 15 października 1933 r.

Pochód pielgrzymów polskich kieruje się do pierwszej z bazylik, Piotrowej. Jesteśmy w przedsionku. Na czele czwórek pielgrzymich kroczy ksiądz biskup łucki z krzyżem w dłoniach, naokoło niego, ze świecami w ręku, asysta: piastuni wielkich nazwisk historycznych, przedstawiciele inteligencji, szarże papieskie.

Gdy wkraczamy do bazyliki, lewą bramą wchodzą grupy z pielgrzymki francuskiej: Alzatki czy Bretonki w wysokich „*heaume*'ach", przypominających średniowiecze. Prawą zaś bramą wkracza zastęp księży egzotycznych: Chińczyków, Japończyków czy Malajów.

Tak, w progu naszej wędrówki, staje nam w oczach to, co w Rzymie jest najsilniejsze: imperjalizm, uniwersalizm, kalolicyzm czyli powszechność.

— — — — — — — — — — — —

Ten imperjalizm uwydatnia się na każdym kroku. Prosto z Bazyliki jedziemy na *„Via dell'Impero"*. Jeśli się wysiądzie przed pomnikiem Wiktora - Emanuela i okrąży go w stronę nowej także *„Via dell'Mare"*, niezwykły widok przedstawi się oczom kogoś, który, jak niżej podpisany, nie był w Rzymie od lat dziesięciu.

Pielgrzym-turysta widzi przed sobą, niby czarowny tryptyk, wszystkie trzy Rzymy, komunikujące się ze sobą w jednej jakgdyby fantastycznej budowie.

Na lewo biało-złoty zwał-olbrzym pomnika nowoczesnego króla, pamiątka przedwojennej jeszcze doby; w środku—najtypowsza budowla średniowieczna: kościół Aracoeli; na prawo—starożytność zmięszana z Renesansem: dostojny Kapitol, przed nim zaś ów pomnik, tak mało dziś aktualny w większości stolic europejskich:

> Nie w tej postaci świeci w starym Rzymie
> Kochanek ludów, ów Marek-Aureli,
> Który tem najpierw rozsławił swe imię,
> Że wygnał szpiegów i donosicieli,

— — — — — — — — — — — —

„Week'end" na *via Veneto* i na *via del Tritone*. W tych punktach, lepiej może jeszcze niż na *Corso*, tu, na przełęczy między starym Rzymem pałaców i kościołów, a nowym banków, ministerjów, ambasad i hoteli, zaobserwować można, w gwałcie popołudnia sobotniego, potężny ruch stołeczny trzeciego Rzymu.

Od murów starorzymskich schodzimy w dół jedyną tą ulicą, co łączy w sobie urok bulwaru z patyną wielkiej historji. Flankują ją gmachy, którycheśmy dotąd nie znali, gdyż, obok przedwojennego pałacu królowej-matki w stylu florenckim, powstały dwie budowle, z których każda nosi piętno epoki swojej, ale i tradycji wieków. Po lewicy bowiem — wznosi się, świeżo wyszły z pod młota, gmach ministerstwa korporacyj, olbrzymi budynek: ni to zamek, ni twierdza, ale tchnący naprawdę cechowym duchem średniowiecznym. Po prawicy—półkulisty, jak pałac Massimo, hotel „Ambasadorów", zbudowany oczywiście zgodnie z ostatniemi zdobyczami techniki, a jednak specyficznie też rzymski. A dalej—wszystkie te *„Excelsior*'y", *„Imperial*'e" i *„Majestic*'i", wyposażone w symbolikę rzymską: orłów, wilczyc i rózeg.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

NA WIDOWNI

List Henryka Sienkiewicza. — Stosunek twórcy „Trylogji“ do żydów. — Wpływy epoki. — Urywek z „Wirów“. — Wobec dzisiejszych Citronenduftów.

W PAPIERACH po ś. p. Ojcu moim przechowuję list, który otrzymał, młody wówczas adwokat i współpracownik warszawskiego „Słowa“, od drukującego właśnie w tymże dzienniku swą „Trylogję“ — Henryka Sienkiewicza. W pięćdziesięciolecie pojawienia się „Ogniem i mieczem“, w siedemnastą rocznicę śmierci autora († 15.XI.1916) warto, być może, zaznajomić szersze koła czytelnicze z tą nigdzie dotąd nie publikowaną pamiątką rodzinną.

Oto tekst dosłowny:

„Szanowny Panie Antoni. —

Nigdy żadnej umowy o papier dla Słowa nie podpisywałem, takowej nie zawierałem, anim się podobnemi sprawami zajmował. Sądzę, że żyd niewłaściwie mnie pozwał i że jeżeli może mieć jakie pretensyje, to tylko do wydawcy — nie zaś do redaktora Słowa. Zresztą Pan się na tem znasz lepiej — i będziesz wiedział, czy można z tej strony sprawę przedstawić. Tym celem zatrzymuję blankiet i jutro każę go poświadczyć — poczem zaraz Panu odeślę. Z całej sprawy wiem tylko to, że choćby żyd a nawet ich pięciuset miało się powiesić, ani myślę chodzić do sądu nawet pod groźbą przegrania sprawy. Niech ich tam dyjabli wezmą! — bo dalibóg nie wiem o co idzie. Najlepiej wpadnij Pan do mnie jutro z rana — pogawędziemy. Z przyjemnością Pana kochanego powitam. Na gardło mi nieco gorzej i postanowiłem jutro nie wychodzić, dlatego Pana proszę.

Sciskam pańską prawicę

Henryk Sienkiewicz“

Ze wzruszeniem spoglądam na ten mały, żółtawy arkusik papieru listowego, z ozdobną, litografowaną literą „S“, barwy fjoletowej, o kształcie tak charakterystycznym jako wyraz smaku epoki... Jakże rasowym szlachcicem polskim był ten genjalny Podlasiak — Sienkiewicz! Pisząc w swoim liście o majętnym, zapewne z powagą noszącym się kupcu (handel papierem, gazetowym zwłaszcza, wymaga uruchomienia znaczniejszego kapitału) nie fatyguje się zauważyć nawet jego imienia i nazwiska: jakiś żyd, mniejsza o to, Mordka czy Aron... I ten spokój, pogody pełen, przy rozważaniu możliwości, że pięciuset żydów miałoby się powiesić z rozpaczy! I ta prosta konkluzja ostateczna: „niech ich tam dyjabli wezmą!“...

— — — — — — — — — — — — —

W latach, kiedy Henryk Sienkiewicz pisał najznakomitsze swe dzieła, antysemityzm uchodził u nas za rzecz nieomal nieprzyzwoitą. Zasięg wpływów i cele „mocarstwa anonimowego“ nie były przedmiotem badań. W pracach historyków, także najwybitniejszych, wywierających wpływ na umysły warstwy oświeconej w epoce ukazania się „Trylogji“, sprawa żydowska całkowitem pomijana była milczeniem. Rzadkością wprost jest wyraz „żyd“ na kartach „Dwunastu ksiąg Historji polskiej“ Szujskiego (r. 1880), w głośnych „Dziejach Polski“ Michała Bobrzyńskiego (r. 1877) tyle tylko można wyczytać, że w okresie świetności swojej (do wieku XVI) ojczyzna nasza „nie wahała się... otworzyć na oścież wrót obcym żywiołom... dość wspomnieć o przyjęciu żydów“, autor zaś dodaje przy sposobności zgoła na serjo, że polityka taka „tylko wewnętrznie wzmacnia“ [1]) naród, który ją stosuje. Fakt, iż w dobie upadku właśnie, w stuleciach XVII (druga połowa) i XVIII, wrota Rzplitej szerzej niż kiedykolwiek otwarły się dla przybyszów żydowskich, że wtedy dopiero osiedlili się oni gromadnie w jej granicach, stając się ważnym czynnikiem jej rozkładu, uszedł jakoś uwagi dziejopisa i zupełnie nie był przezeń wzięty w rachubę. Od czasów Batorego i Zygmunta Wazy aż do ostatniego rozbioru Polski, ani jedna, najdrobniejsza wzmianka o żydach nie pojawia się w jego obszernym wykładzie...

Samo zresztą posługiwanie się słowem „żyd“ w mowie i piśmie uważano za coś jakby nietaktownego, niegrzecznego. Wyrażano się: „izraelita“, „starozakonny“, w rozmowie bezpośredniej przyjęto, jako formę uprzejmiejszą, zwracanie się *per* „kupiec“, np.: „Ile kupiec da ostatecznie za ten używany garnitur?...“

Sienkiewicz był prawem dziecięciem swojego wieku. Odzwierciedlał raczej, z mistrzowstwem niezwykłem, pojęcia i uczucia swoich współczesnych, aniżeli je wieszczą przenikliwością wyprzedzał. Dlatego właśnie należał do tej kategorji pisarzy, którzy za życia już nagrodzeni byli pełnią uznania i zrozumienia ze strony pokoleń swych rówieśników.

To też czytelnikowi „Ogniem i mieczem“ ani przemknie przez myśl podejrzenie, jak wielką rolę w zaognieniu kwestji kozackiej odegrał ucisk i wyzysk ówczesnej ludności kresowej przez żydostwo [2]), ani przypuści, że — jak pisał słynny wódz zbuntowanych, Krzywonos, w liście do księcia Dominika Zasławskiego — „ta wojna zaczęła się z żydów...“ Z lektury „Potopu“ czy „Pana Wołodyjowskiego“ słówkiem jednem nie dowie się o tem, jak ważnym bardzo, fatalnym skutkiem wojen szwedzkich i wynikającego z nich spustoszenia, stał się napływ gromadny osiedleńców żydowskich do zniszczonego kraju, tak odmienny w następstwach cywilizacyjnych od osadnictwa niemieckiego na ziemiach polskich, w wiekach średnich, po napadach tatarskich...

Nietylko wszakże w historji naszej nie zauważał Sienkiewicz żydów i ich roli, ale również i w wydarzeniach bliższych, którym przyglądał się własnemi oczami. W powieści „Wiry“, malującej wrzenie rewolucyjne roku 1905, zadziwia poprostu nie spostrzeganie zagadnienia żydowskiego, które w tym czasie ujawniało się przecież w sposób tak widoczny: dyskutuje się tam o narodowcach, socjalistach, o walce idej wewnątrz społeczeństwa polskiego, nie rozważa się atoli ani razu duchowego związku socjalizmu z żydostwem, polityki żydowskiej i t. p.

A jednakże i w „Wirach“, już pod koniec powieści, jest króciutka scenka epizodyczna, kiedy jedna z drugoplanowych postaci, niejaki Świdwicki, opowiada o swojej przygodzie na zebraniu, gdzie w prezydjum zasiedli: „pan Citronenduft, panna

[1]) Michał Bobrzyński: „Dzieje Polski“, tom II. wyd. II, r. 1881, str. 351 — 352.

[2]) Słynny żydowski historyk, H. Graetz (t. VIII, str. 53) pisze (cytuję za „Zmierzchem Izraela“ H. Rolickiego): „Trzy domy magnackie kolonizowały głównie Ukrainę i Małą Ruś, Koniecpolscy, Wiśniowieccy i Potoccy, którzy nałożone na kozaków uciążliwe podatki wypuszczali swoim plenipotentom żydowskim. Kozacy musieli opłacać podatek od każdego nowonarodzonego dziecka, od każdej świeżo zaślubionej pary. Aby nie można było ominąć tej dani, arendarze żydowscy przechowywali u siebie klucze od kościołów greckich i ilekroć duchowny miał ochrzcić dziecko lub połączyć ślubem jakie stadło, musiał o nie prosić arendarza, który je wręczał dopiero po uiszczeniu daniny“.

Bywałkiewicz, panna Anserowicz, panna Kostropacka, panna Gotower, pan redaktor Czubacki":

„— Był tedy wiec uświadamiający. Panna Sicklawer, to, mówię panom, Cicero w spódnicy. Jak zaczęła uświadamiać rozmaite korniszony rodzaju męskiego i rozmaite sroki od lat czternastu, z których przeważnie składała się publiczność, to aż i mnie zrobiło się ciepło. Korniszony biły brawo lub wołały „hańba", gdy była mowa o rodzicach; sroki dostały wypieków i podrzucało je na krzesłach, tak jakby siedziały na szydłach, i wszystko było jaknajlepiej. Zabierał głos pan Citronenduft, panna Gotower"...

Twórca *„Quo vadis?"* kwestji żydowskiej zgłębiać nie chciał czy nie mógł, ani czasy zresztą, w których wyrósł, ani środowisko, w którem przebywał, nie zwracały w tym kierunku jego zainteresowań. Ale nazbyt rdzennym był Polakiem, żeby mogły zawodzić instynkty. I niełatwo wyobrazić sobie, by autor przytoczonego urywka z „Wirów", do dzisiejszych następców p. Citronendufta, poświęcających, w literackich tygodnikach, stronice całe propagandzie „życia świadomego", zechciał odnosić się na stopie zażyłości, jak kolega wobec kolegi. Raczej chyba odzywałby się do nich tonem grzecznym (nie pamiętając zresztą nazwiska swego rozmówcy):

— Kupiec pisze teraz wiersze liryczne? Czytałem, czytałem... Ostatni tomik elegij kupca bardzo mi przypadł do gustu...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

1918-1933. Piętnaście lat niepodległości. Okres ten wywołać może uczucie dumy u tych, co do rozbudzenia jej nie mają lepszych powodów; i natchnąć wiarą w przyszłość tych, co w nią raczej nie wierzą. Bo w gruncie rzeczy samo piętnastoletnie istnienie państwa nie jest jeszcze solidnym dowodem, że państwo trwać będzie dalej. Powiedzielibyśmy, że Polska w tym czasie zdała egzamin rządzenia, gdybyśmy, co do zdolności polskich w tym zakresie, żywili gruntowny sceptycyzm. Jeżeli fundamentem nadziei na przyszłość miałby być ten argument, że oto egzystujemy już przez piętnaście lat, bardzo wątła zaiste byłaby to gwarancja. I gdybyśmy wierzyć mieli, że nie potrafimy rządzić się lepiej, niż w tem ostatniem piętnastoleciu, byłoby to także świadectwem niezmiernie niskich wymagań. Piętnaście lat, to okres czasu bardzo krótki. Ale tylko wyobraźnia, zbita z tropu czczą propagandą „państwowości", skłonna będzie szukać w tym okresie specjalnych powodów do optymizmu, wiary i otuchy na przyszłość. Dla tych, co mocno wierzą w naród i w jego siłę odwieczną i niewzruszoną, jest to oczywiście niepotrzebne. Nie piętnaście lat dowodzi trwałości istnienia naszego, ale tysiąclecie. Na perypetje państwa, zaimprowizowanego po roku 1918, spojrzeć mogą bez zmuszania się do zachwytu ci, którym rządność dawnej Polski o wiele więcej imponuje. Ten obchód „piętnastolecia niepodległości" uprzytomnia znakomicie, jak głęboko niewiara w zdolność Polaków do czynu i do samodzielnej egzystencji państwowej wraziła się w umysły pokolenia, co dorosło w Polsce przedwojennej. Poczynania niezdarne i głupawe podziwia się często z tej zasady, że przecież Polak nic wogóle zdziałać nie potrafi; wszelką tandetę podaje uroczyście do chwalenia, „bo to we własnem państwie". Jest to poziom wymagań tych, co wiarę w Polskę prawie kompletnie stracili, a o narodzie swym są niezmiernie niskiego w głębi duszy mniemania. Nie przychodzi im na myśl, że coś może się szczególnie nie podobać z tego właśnie powodu, że dzieje się we własnem państwie. „Własne państwo" — to nie zachęta do tolerancji, ale bodziec do wyczulenia drażliwości. „Własne państwo", dla ludzi wychowanych w niewoli, inaczej też jest własne, niż własne państwo dla Francuza, Anglika, Włocha. Tam zaostrza poczucie honoru obywatelskiego, u nas stępia. Wina w tem niezawodnie przejściowych warunków, dziś panujących w Polsce. Podobnież obawa niebezpieczeństwa zewnętrznego inaczej działa w krajach wspomnianych, niż u nas. Tam nigdy nie jest racją, żeby życie polityczne urządzać na najniższym możliwym stopniu cywilizacji. U nas jest powodem, dla którego gotowiśmy na ogół tolerować bardzo wiele. To także dowód, że niepewnie się czujemy. Poczucie, że państwo może zginąć pod wpływem inwazji, jest jeszcze u nas w umysłach starszego pokolenia zakorzenione, a suggestja ta od starszych udziela się i młodszym. Tymczasem weszliśmy niewątpliwie w okres dziejów, w którym i pod tym względem upodobniliśmy się do normalnych narodów zachodnich. Wydaje się, że i Europa Środkowa weszła w ten okres, kiedy byt państw się ustala, a płynność granic znika. Możliwe są i tu, jak nadal w Europie Zachodniej, wojny, przegrane przez jedną stronę, wygrane przez drugą. Choćby jednak okropności wojny się zwiększyły, nie zmienia to faktu, że żyjemy w wieku nacjonalizmu, a w wieku nacjonalizmu niknięcie z powierzchni ziemi państw narodowych, a zmartwychwstanie jakichś imperjów w rodzaju dawnej Austrji, jest rzeczą nie do pomyślenia. Polska istnieje trwale; niezależnie od tego, czy przyszłość jej gotuje klęski, czy też triumfy. Dzieje żadnego narodu nie są jednem nieprzerwanem pasmem powodzeń. Ale w dobie dzisiejszej sytuacja nadomiar układa się dla Polski tak pomyślnie, że tylko bardzo zła polityka mogłaby te szanse zmarnować. Dzieje ostatniego piętnastolecia przyniosły Polakowi, zwłaszcza w ostatnich latach, ogromnie wiele upokorzeń. Osłuchał się z maksymami: „my niczego lepszego nie jesteśmy godni", „nie stać nas na nic innego" i t. p. Przekonał się, że w powojennym wyścigu narodów Polska nie startuje w rynsztunku, godnym jej cywilizacji. Musiał znieść to, że cywilizacji tej nazewnątrz narazie nie widać, i że w kraju zaniesiona jest najrozmaitszem śmieciem. Słuchał rozpowszechnianej przez megafony i głośniki chwalby politycznego prymitywu. Ostoję godności obywatelskiej znaleźć mógł tylko w poczuciu związku z wartościami cywilizacyjnemi dawnej Polski, a zakład optymizmu na przyszłość w tem, że wartości te są dla wszystkich i że nie zaginą. Z wejściem w życie zastępów młodszego pokolenia, w następnem z kolei piętnastoleciu dziejów odrodzonej Polski, przeżytki niewoli, obecnie podawane do czci powszechnej pod postacią dorywczych kultów, na skutek reakcji zdrowia, normalności i poczucia proporcji, spotkają się z należnem nieposzanowaniem i bardzo zwietrzeją. Nastanie niewątpliwie ład bardziej polski, nie tak wiele zresztą czasu zostaje, żeby go zaprowadzić. Jeszcze dwa piętnastolecia — i Polska wejdzie w drugie tysiąclecie swoich dziejów. Wypada, żeby z nieładem skończyła na dobre jeszcze w pierwszem, na długo przed obchodem rocznicy 963 — 1963.

BOHDAN RUTKIEWICZ

PRZEDWCZEŚNIE zmarły w lecie bieżącego roku, profesor psychologji Uniwersytetu Lubelskiego Bohdan Rutkiewicz był jednym z nielicznych (a może przytem najwybitniejszym i najbardziej znanym) z polskich filozofów przyrody. Z wykształcenia przyrodnik (pozostawił parę prac ściśle przyrodniczych) poświęcił się przedewszystkiem studjom i krytyce teoryj filozoficzno-biologicznych, którym od czasów postania w biologji teorji ewolucji, zwłaszcza od wystąpienia na początku XX wieku Hansa Driesch'a, poświęcili filozofowie, a przedewszystkiem filozofujący przyrodnicy bardzo dużo uwagi. Panujący prawie powszechnie śród przyrodników końca XIX wieku pogląd mechanistyczny na istotę żywą, czyli uznający, iż w organizmach żywych zachodzą wyłącznie procesy fizyko-chemiczne, a zatem, że wszelki organizm jest tylko maszyną, poddał Driesch, znakomity współczesny embrjolog niemiecki, bardzo ostrej krytyce. Już przed nim śród przyrodników końca XIX wieku odzywały się głosy twierdzące o niemożności utrzymania w biologji światopoglądu mechanistyczno-materjalistycznego, a głoszące, iż należy nawrócić do teoryj witalistycznych, przyjmujących istnienie we wszelkich organizmach żywych, prócz materji, innego jeszcze, duchowego czynnika, atoli wystąpienie Driesch'a odegrało tu rolę przełomową[1]). Opierając się na swoich badaniach, dotyczących przedewszystkiem zjawiska regeneracji, a które postawiły go w rzędzie najwybitniejszych współczesnych przyrodników, udowadnia on bardzo subtelnemi, a zarazem trudnemi dla niefachowca metodami, iż organizm żywy nie da się w żaden sposób wytłumaczyć jako maszyna. Analiza różnych faktów przyrodniczych nasuwa konieczność przyjęcia, że w organizmach żywych, prócz materji, istnieje jeszcze inny, duchowej natury czynnik, który on nazwał, nawiązując do terminologji arystotelesowej, „entelechją". Terminowi temu nadał jednak znaczenie nieco odmienne od perypatetycznego. Nie mogąc tu obszerniej zastanowić się nad poglądami i koncepcjami Driesch'a, nadmienimy tylko, iż jego teorję cechuje, w przeciwieństwie do hylemorfizmu arystotelesowego, skrajny dualizm; „entelechja" drieschowska nie jest bynajmniej „formą" Arystotelesa, stwarzającą wraz z „materją" jednolity przedmiot, zarówno martwy, jak i żywy. Według tego uczonego „entelechja" wyłącznie przysługuje organizmom żywym, jest ona bliżej nieokreślonego, niematerjalnego pochodzenia i wszystkie fakty biologiczne zachodzą dzięki jej interwencji. Powstanie tej „witalistycznej", a ściślej mówiąc „neowitalistycznej" teorji wywołało olbrzymie wrażenie i zainteresowanie śród filozofów przyrody. Znalazło się wielu obrońców mechanizmu biologicznego, lecz nierównie więcej zwolenników witalizmu, którzy wytworzyli cały szereg systematów, nieraz różniących się wielce i między sobą i od teorji Driesch'a. Dość wspomnieć teorje Haldane'a, Francé'go, Rignano, Bergsona, Paule'go, u nas ostatnio Bilikiewicza i wielu innych. Teorje te nie tylko często różnią się poglądem na istotę życia, lecz także tem, iż jedni uważają, że przyrodą żywą kierują przyczyny celowe, drudzy stoją na stanowisku antyfinalistycznem. Różne są także zapatrywania na teorję ewolucji. Walczą też między sobą agnoscytyczne, panteistyczne i teistyczne tendencje.

Ś. p. dr. Rutkiewicz, świetny znawca całego tego ruchu, w szeregu rozpraw i studjów krytycznych omawiał i poddawał analizie współczesne systematy biologiczno-filozoficzne. Sam zdecydowany zwolennik arystotelesowsko-tomistycznego światopoglądu, uważał i udowodniał, iż wszelkie fakty, znane współczesnej biologji, znaleźć mogą jednolite, niesprzeczne i konsekwentne wytłumaczenie filozoficzne jedynie na płaszczyźnie hylemorfizmu, finalizmu, umiarkowanej ewolucji i teizmu.

Pozostawił sporo rozpraw, pisanych po włosku (umieszczał w *„Rivista di Filosofia Neo-scolastica"*) i po polsku (przeważnie w „Przeglądzie Filozoficznym", ważniejsze: „Pojęcie organizmu i hylemorfizmu", roczn. 1926, „Witalizm metodologiczny i witalizm metafizyczny", roczn. 1931, „Agostino Semelli i filozofja neoscholastyczna", roczn. 1932), a także dwie książki: „Współczesny antymechanizm biologiczny i podstawy finalizmu" (Lublin, 1929) i „Indywidualizacja, ewolucja, finalizm biologiczny" (Lublin, 1932, ukazał się także przekład francuski). Chociaż te dzieła są pisane stylem nieco ciężkim i trudnym, to tem nie mniej mogą być bardzo pouczającą lekturą dla osób, pragnących poznać poglądy, występujące w teraźniejszej filozofji biologji, i ich krytyczne naświetlenie ze stanowiska neoscholastycznego.

Dr. B. Rutkiewicz umarł w okresie pełnego rozwoju swej działalności naukowej, kiedy zaczął uzyskiwać i w kraju i zagranicą uznanie jako pierwszorzędny znawca swego przedmiotu i gdy z jego zdaniem w tych sprawach zaczynali się liczyć ludzie, wyznający wręcz przeciwny niżli on światopogląd. Wytworzoną w filozofji polskiej przez jego śmierć lukę trudno będzie w prędkim czasie zapełnić.

LAMBDA

[1]) Niezły przegląd różnych teoryj filozoficzno-biologicznych (mechanistycznych i witalistycznych) daje ks. K. Wais: „Kosmologja szczegółowa", tom I str. 33 — 38, Gniezno, 1931.

NAUKA I LITERATURA

SZKICE Z DZIEJÓW UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

NR. 80 „Bibljoteki Krakowskiej" świadczy chlubnie o intensywności życia naukowego środowiska. Na tradycję ową złożyły się lata, sięgające głęboko w średniowiecze i atmosfera, w której pozostawały pokolenia. Czytelnicy naszego pisma znają choćby ze szkiców K. M. Morawskiego elementy tej intelektualnej kultury, w której pietyzm dla rodzinnego miasta znaczy się trwałym i pięknym śladem. Miłością do Krakowa urzeczona jest nietylko literatura i poezja, ale także historjografja, wdzięczna uniwersytetowi Jagiellońskiemu za lata długo kształconej uprawy.

Żadne też miasto polskie nie zna przeszłości swej tak rzetelnie, jak właśnie Kraków. Celom owym służy m. in. „Bibljoteka Krakowska", poświęcona regjonalnej wiedzy historycznej. Skromne te, niebiesko oprawne tomiki, w sumiennem i zwięzłem przedstawieniu zawarły monografje niejednego kościoła, domu, zabytku, ulicy. Nie wszystkie z publikacyj „Bibljoteki" liczyć mogły na donioślejszy rezonans po

kraju; temat wiązał je ściśle z miastem. Tu jednak Jan Ptaśnik ogłosił przed laty, przypomniane niedawno, „Obrazki z życia żaków krakowskich“, tu dano zarys poezji krakowskiej, teatru, cechów. St. Estreicher dobywa pamiętniki Ambrożego Grabowskiego, M. Szukiewicz Stattlera. Opracowania historyczne, z pozoru wąskie i specjalne, rozszerzają swój zasięg poza bramy miejskie i służą za dobry przykład rozważnie prowadzonego regjonalizmu.

Bliski numer setny „Bibljoteki“ niechże będzie okazją do oceny ogólnej. Dziś mamy przed sobą tomik ostatni: „Szkice z dziejów Uniwersytetu Jagiellońskiego“ Henryka Barycza. Zbiór ów zdaje się obejmować materjały archiwalne i poszukiwania źródłowe z szerokiego marginesu obszernej pracy syntetycznej, do której autor nie zechciał ich wprowadzać; są to niby ucinki warsztatu naukowego: szkice, zebrane przy pisaniu historji.

Rozejrzyjmy się w nich koleją. Rozprawka pierwsza przedstawia „Udział uniwersytetu Jagiellońskiego w rozwoju języka i literatury ojczystej“. Jest to wizerunek rzadkiej zasługi, którą poniósł uniwersytet w czasach walki o literaturę narodową, posługującą się językiem polskim. Praca mistrzów krakowskich, podejmowana zespołem i jednostkowo, zaważyła niemało w dniu ostatecznego zwycięstwa. Historyk literatury odczyta z uwagą ogłoszony przez autora, zapomniany całkowicie wiersz polski Grzegorza z Sambora p. t. „Praktyka o dzisiejszym wieku“, jeden z trzech wierszy polskich, jakie napisał gładki humanista. Rozprawka archiwalna „Z ostatnich lat życia Pawła Włodkowica“ przynosi korektę ustaleń biograficznych. Natomiast znaczną ciekawość budzi obszerny szkic następny: „Profesor krakowski współpracownikiem wielkiego przyrodnika“. Jest to rewelacyjny obraz stosunków naukowych, jakie utrzymywał z Polską, a przedewszystkiem z mistrzem krakowskim Marcinem Foxem znakomity przyrodnik boloński Ulixes Aldrovandi. Autor wielkich trzynastu tomów historji naturalnej świata pozostawił jeszcze przeszło dwieście rękopiśmiennych woluminów notatek naukowych i osobistych, z których archiwalne poszukiwania Barycza wydobyły bardzo cenne i ważne *polonica*. Mają się materjały te ukazać osobno; szkic aktualny daje ogólny ich zarys i ocenę. Właściwe stosunki Aldrovandiego z Polakami zaczynają się od r. 1570 i przechodzą nasilenia rozmaitej intensywności. Relacjom z Polski zawdzięcza przyrodnik boloński wiele wiadomości i spostrzeżeń z naszej flory i fauny; miały wejść te szczegóły, jakkolwiek istotnie weszły nieznacznie — do zarysu historji naturalnej świata. Korespondencja dochowana ukazuje przedewszystkiem głównego informatora Bolonji, doktora Marcina Foxa, który urasta do poziomu wybitnych przyrodników polskich XVI wieku. W promieniu związków naukowych Aldrovandiego znajdziemy niejednego humanistę z Polski; komunikuje się z nim historyk Heidenstein, bibljofil Wolski. Aldrovandi, miłośnik rzeczy polskich, gorliwy zbieracz i czytelnik polskich książek, darzący szczerą sympatją Polaków, którzy „z wielką uprzejmością traktują obcych“, ukazuje się naszym oczom, jako oddany przyjaciel sarmackiej nacji. Poszukiwania archiwalne Barycza odsłoniły ważny epizod związków kulturalnych Polski z zagranicą.

Z niesłabnącą ciekawością odczytujemy następne karty zbioru, pełne nieznanych szczegółów przeszłości. Oto kanclerz wielki Jan Zamoyski i obraz jego stosunków z uniwersytetem, który uzupełnia znaną monografję prof. Łempickiego. Zamoyskiemu tradycja uniwersytecka przypisuje zdanie: „dla kogo Akademja nie jest matką, dla tego jest babką“. Oto z dziejów stosunków pańszczyźniano-poddańczych w dobrach uniwersyteckich na przełomie XVI i XVII wieku ukazany magister filozofji, bakałarz teologji Wojciech z Sierpca, właściciel bogatego beneficjum, gospodarz co się zowie, lichy uczony, ale „zdzierca i łupiezca, wiarołomca i pieniacz, okrutnik i tyran“. Jego perypetje ze wsią Sidziną, wypełniające długie lata szeregiem pozwów, skarg, odwołań, mają momenty prawdziwie dramatyczne, które dobrze ukazują czasy i człowieka, jak gardłuje przed sądem rektorskim, zły, gwałtowny i raz po raz płacący grzywny za uchybienie berłu. Wątek doskonałej powieści obyczajowej!

Chciałoby się z książki Barycza wydobyć jeszcze rozprawę o uniwersytecie Jagiellońskim w roli cenzora oraz zaznaczyć szkic końcowy: „W służbie rodziny Sobieskich“, który rewindykuje m. in. na rzecz nauki, nieznaną niemal postać mistrza Marcina Winklera. Ale dość się już rzekło, by w mnóstwie nowych ustaleń, w pedantycznych dochodzeniach utajonej wśród archiwów prawdy, w drobiazgowych studjach szczegółów przeszłości ważnej i nieznanej — ujrzeć wysoki walor naukowy publikacji Barycza.

E. P.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Tak zasłużone dla nauki polskiej wydawnictwo „Prac historyczno-literackich“, założone i redagowane od lat dwudziestu przez prof. I. Chrzanowskiego, a już na samym początku swego istnienia szczycące się świetnemi rozprawami Pigonia, Bańkowskiego, Borowego, Chodynickiego i Gąsiorowskiej, następnie zaś J. Krzyżanowskiego, Mitany, Bara, Brahmera i Kijasa, obecnie przeżywa trzeci okres swego rozkwitu. Po omówionej tu niedawno „Satyrze politycznej Sejmu Czteroletniego“ Juljusza Nowaka dostaliśmy do rąk nową, równie cenną rozprawę, której autorem jest młody badacz, imponujący tak wszechstronnością zainteresowań, jak i głęboką, sumienną erudycją, Tadeusz Mikulski. Rozprawa ta, nosząca tytuł „Ród Zoilów“, wprawdzie zaczerpnęła temat — jak zaznacza sam autor — „z dziejów staropolskiej krytyki literackiej“, jednakże potrąca o sprawy znacznie rozleglejsze, bo wywodzące się z czasów starożytnych, a i po dziś dzień nieprzebrzmiałe, aktualne. Sporną jest rzeczą, odkąd to zaczynać należy dzieje polskiej krytyki, w każdym razie — jeżeli przyjąć, że przed dobą pseudoklasyczną mieliśmy wogóle krytykę literacką — to zadaniem nader mozolnem będzie jej zobrazowanie na podstawie skąpej ilości zachowanych materjałów; ponadto napewno plon tej krytyki będzie dość mało zróżnicowany w swych postaciach: w większości będą to panegiryczne komunały, albo, naodwrót, złośliwe inwektywy. Z tych dwu krańcowości niewątpliwie żywsza, a więc i ciekawsza, będzie druga; tą właśnie zajął się dr. Mikulski. Zoil „bicz na Homera“ (*homeromastix*) był niewątpliwie krytykiem złośliwym, ale bystrym; z pewnością niejedną myśl jego później powtórzył Horacy — choć jemu samemu wciąż stał przed oczami — i niepokoił go — inny już zoil, taki przez małe *z*, konwencjonalny i spospolitowany, może fikcyjny krytyk głupi a złośliwy, który z lubością sadystyczną, niczem pies wściekły, kąsał *dente invido* poetę i jego utwory. Tradycja zoilowska rosła przez wieki — przeszła w legendę, a jednocześnie konwencjonalizowała się coraz bardziej. Zoil nietylko otrzymał „psie zęby“ (ładne ząbkowanie!), ale i inaczej go jeszcze strojono; dostawał „pysk“ (nierzadko i po pysku), żądło trujące, oczy zaropiałe (do których, bywało, i okulary dodawano!), nos długachny i krzywy, brwi i włosy „lisie“, słowem brakowało tylko, by o nim zaśpiewano, jak w znanej piosence: „a cała figura podobna do szczura“! Stał się więc zoil synonimem i uosobieniem wszelkiej brzydoty, fizycznej i moralnej, czasem wręcz postacią symboliczną, przenośnią abstrakcją złych narowów... „Fikcja czy rzeczywistość“ — taki dylemat jest wnioskiem (nierozstrzygniętym) z tych wszelkich sądów o Zoilu. Bo Zoil to nietylko krytyk literacki; wszedł w jego skórę i cenzor, a i każdego zazdrośnika zwać poczęto Zoilem. Zaś walczono z nim na różne sposoby: prośbą i groźbą, chłostą i obelgą — jak się dało. Ale jakoś nie zwalczono. Zoil, jak hydra, „rośnie w dziesięcioro“ i po dziś dzień żyje — nieśmiertelny. I dziś też nie brak wszelakiego nasienia Zoilów... (J. B.)

*

Prócz Jana, autora „Memorjału o naprawie Rzplitej“, magnacki ród Ostrorogów wydał jeszcze drugiego pisarza, głośnego i zasłużonego w swoim czasie. Był nim wojewoda poznański, również Jan, autor wielu prac rękopiśmiennych i drukowanych, z których wziętość największą miało „Myślistwo z ogary“. Dowodem wziętości tego najlepszego staropolskiego podręcznika łowieckiego jest wielka ilość jego wydań, które musiały być bardzo poczytne, skoro niejedno z nich ledwo w kilku zachowało się egzemplarzach. Dokładną bibljografję „Myślistwa“ zebrał i ogłosił niestrudzony badacz dziejów polskiego łowiectwa oraz wytrawny bibljofil, dr. Witold Ziembicki, w książeczce „Jan Ostroróg i jego Myślistwo

z ogary". Z zestawień tych okazuje się, że dzieło Ostroroga miało chętnych czytelników jeszcze w XVIII wieku, czego dowodem jest szereg t. zw. „wydań łowickich", drukowanych w Łowiczu już po rozbiorach Polski; pozatem przedrukowano je jeszcze dwukrotnie w XIX wieku i dwa razy w XX-ym. W tych przedrukach „Myślistwo" dziwne miewało nieraz koleje—przypisywano je nawet Opalińskiemu! W każdym razie ocalało do naszych czasów i nie straciło barwy do dziś dnia. Poświęcone było Władysławowi IV, który w istocie — a nie Zygmunt August, jak twierdzi Mickiewicz w „Panu Tadeuszu"— był „ostatnim na Litwie monarchą — myśliwym", o czem wiadomo zresztą z „*Silviludia*" Sarbiewskiego.

Dr. Ziembicki podaje ponadto cenną wiadomość o życiu i twórczości Ostroroga, omawiając zwłaszcza rzeczy mniej znane, leżące w rękopisach. Któreś z pism łowieckich powinno przedrukować choćby „Zwierzyniec", gdzie są niezmiernie ciekawe szczegóły np. o turach i żubrach. Do czuwania nad tym przedrukiem nikt nie jest tak powołany, jak sam prof. Ziembicki, łączący z wiedzą fachową (lekarską i przyrodniczą) uzdolnienia literackie i filologiczne.

W temże wydawnictwo, co książka Ziembickiego (księg. Połonieckiego we Lwowie), ukazał się w opracowaniu J. W. Kobylańskiego orginalny panegiryk myśliwski z XVIII wieku p. t. „Łowy orła Radziwiłłowskiego". Literacką wartość ma niewielką, w panegiryźmie swoim niezbyt jest wykwintny, natomiast zasługuje na uwagę jako ciekawy zabytek językowy. Spotykamy w nim barwne zwroty z żywej gwary myśliwskiej (łowitwa, upole), z któremi splatają się prowincjonalizmy kresowe; jest to jakby przedsmak atmosfery „Puszczy" oraz „Sobola i panny". (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Ambasador J. Noulens, reprezentant Francji w Rosji w latach 1917—1919, wydał świeżo swoje wspomnienia z tych czasów, pod tytułem „*Mon Ambassade en Russie Sovietique*" (Tom I-szy. Paryż, księgarnia Plon'a, str. 259). Wypadki i zdarzenia, związane z rewolucją rosyjską i ustaleniem się rządu bolszewickiego, zostały tu przedstawione w sposób nader jasny, a ich sprawcy osądzeni stanowczo, z całym jednak objektywizmem, bez jakichkolwiekbądź uprzedzeń. „Napróżno byśmy szukali" — powiada autor — „w polityce, której się trzymały rządy ks. Lwowa i Kiereńskiego, reprezentujące, we własnem przekonaniu, ład i obronę społeczną — dowodu odwagi, energji bądź stanowczości, gdy chodziło o przeciwstawienie się zamiarom wywrotowców". P. Noulens jest zdania, że temu właśnie Rosja zawdzięcza swoją katastrofę, sytuacja bowiem w początkach rewolucji mogła być niejednokrotnie naprawiona, gdyby nie brak stanowczości rządu tymczasowego. Dobra sposobność zmiażdżenia rewolty bolszewickiej nastręczała się, zdaniem autora, w lipcu 1917 roku, gdy Lenin i jego sztab główny, wypędzony z pałacu Krzesińskiej i rozproszony, schronił się na „Aurorę", mały krążownik, stojący na Newie. „Każdy inny rząd"—utrzymuje Noulens—„zażądałby poddania się buntowników, albo zatopiłby statek, co było rzeczą bardzo łatwą, gdyż „Aurora" stała pod ogniem dział twierdzy Piotra i Pawła. Gdyby Kierenskij zdobył się na stanowczość, sprzątnąłby wodzów bolszewizmu i prawdopodobnie położyłby kres samemu ruchowi rewolucyjnemu". Na Kiereńskim i bolszewikach poznał się dobrze ambasador Noulens, mniej jednak trafnie zorjentował się w działalności takich przyjaciół Kiereńskiego, jak np. Lednicki, któremu wystawia pochlebne świadectwo (str. 104—105), jakoby za to, że był mniej więcej tak samo zwolennikiem Ententy, jak hr. Wielopolski i t. p. (W. J.)

*

W wydawnictwie „*Les Grands Révolutionnaires*", którego kierownikiem jest członek Akademji Francuskiej, L. Barthou, opublikowano książkę Gèrard'a Waltera, poświęcona Marat'owi. W bardzo żywy sposób opowiedziany tu został przez autora przedrewolucyjny głównie okres istnienia tego „przyjaciela ludu". Okazuje się, że w tym okresie Marat poszukiwał nietylko stanowiska społecznego lecz i ojczyzny, gdyż, przebywając w różnych krajach, gotów był zostać raz Hiszpanem, znów inny Prusakiem, aż wkońcu zdecydował się być Francuzem. W dążeniu do karjery usiłował zostać uczonym, ambicją jego było dostać się do Akademji, w tym czasie nawet ocierał się o sfery dworskie, zawiedziony wszakże w swoich nadziejach, rozgoryczony i rozjątrzony stał się mszczącym się „za krzywdy ludu" rewolucjonistą. (W. J.)

MUZYKA

FILHARMOMJA. — Piątkowym koncertem symfonicznym dnia 3 listopada dyrygował p. Massimo Freccia, solistą był p. Zino Francescatti.

Obydwaj Włosi mieli jedną wspólną cechę — odznaczali się umiarem w operowaniu środkami muzycznemi, które, jakże często, u innych nie idą w kierunku wydobycia wyrazu artystycznego, a służą jedynie efektowi, pobudzającemu oklaski. To też umiar ten trzeba im zaliczyć na *plus*, zwłaszcza p. Francescatti, który jako skrzypek, zresztą dużej miary, bardziej jest narażony na pokusy, tkwiące już w samej naturze instrumentu i jego repertuarze.

Umiar ten natomiast nie zawsze wychodzi na dobre p. Massimo Freccia, któremu przeszkadza w przeprowadzeniu linji muzycznej wykonywanego utworu. Szczególnie dało się to odczuć w suicie p. t. „Obrazki z Wystawy". Groteskowość tych obrazków, charakterystycznie ujęta przez Mussorgskiego, została jeszcze podkreślona instumentacją Ravela. Freccia wydobył z orkiestry te wartości, jakie mu ta instrumentacja dawała, osiągając bardzo ciekawe efekty, ale właśnie kosztem linji muzycznej. Suita ta, wykonana w piątek, bardziej była Ravela, aniżeli Mussorgskiego, chociaż dosłownie dziełem Ravela trudnoby też ją nazwać.

Czy jest to zarzut postawiowy p. Freccia? — Nie. Kapelmistrza nie obowiązuje bowiem jedynie poprawność; jest on również interpretatorem. Jak daleko interpretacja sięgać powinna, jest już jednakże kwestją.

Program koncertu zawierał Bacha (*Passaglia c-moll* w transkrypcji Ottorina Respighi), Brahmsa, Wagnera, Paganiniego i Wieniawskiego.

KONSERWATORJUM. — W sobotę, 4-go listopada odbył się w sali Konserwatorjum recital śpiewaczy pani Stanisławy Korwin-Szymanowskiej, poświęcony pieśni francuskiej, począwszy od wieku XVII-go aż do współczesnych nam kompozytorów. Ułożenie programu, które jest pierwszem świadectwem, jakie sobie artysta wystawia, zmuszało tym razem do pokonania niemałej skali trudności; kilkanaście tych bowiem pieśni, wykonanych w sobotę, reprezetowały różne epoki wraz z ich wymaganiami artystycznemi, kierunkami, problemami formalnemi i technicznemi. Inne zadania ma artystka, śpiewająca arję Lully'ego, Rameau, inne Roussela, a jeszcze inne Debussy'ego. Tu jeszcze, oprócz wiedzy muzycznej, konieczną jest rzeczą znajomość i wyczucie kultury francuskiej, a przedewszystkiem języka.

Wiele razy się słyszało i słyszy wciąż jeszcze, tak że stało się to już utartym (dosłownie) poglądem, iż język francuski należy do najniewdzięczniejszych dla śpiewu. Pogląd całkowicie błędny, wytworzony w okresie panowania *bel canto*, któremu język włoski służył bezsprzecznie najlepiej, przedewszystkiem dlatego, że sama już ta szkoła wyrosła z tych samych, co i on, pokładów — była szkołą włoską. Język francuski jest niezastąpiony dla pieśni francuskiej i wcale nie jest „niewdzięcznym", przeciwnie — podkreśla jeszcze jej charakter, tworzy łącznie z melodją prawdziwą całość.

Minął już na szczęście okres, w którym sztucznie łączono najlepsze, jak sądzono, zdobycze w celu osiągnięcia rzeczy „skończenie doskonałej", w imię „sztuki czystej" i niemniej czystych wymagań estetycznych. W rezultacie nie było to ani pięknem, ani sztuką.

Wieczór, poświęcony pieśni francuskiej, należy zaliczyć do najładniejszych koncertów, jakie, w ostatnim czasie mieliśmy możność słyszeć.

W. NARUSZ

NOWE KSIĄŻKI

Sokołowski Jan. Odrabianie lekcyj w szkole powszechnej (na podstawie ankiety). Poznań 1933. „Przyjaciel Szkoły". S. 47.

Seydlitz Wład. Uwagi do projektu nowelizacji ustawy o spółdzielniach. Poznań 1933. Unja Związków Spółdz. S. 51.

Niepodległość Warsz. 1933. Zesz. 19 (2-i tomu VIII).

Wistnik (miesięcznik literatury, sztuki, nauki i życia społecznego) Lwów 1933. T. III, wrzesień.

Zapiski Tow. Naukowego w Toruniu. Tom IX, n-ry 1 — 2, 3 — 4, 5 — 6.

La Pologne. Paryż 1933, wrzesień.

Małachowski-Łempicki hr. Stan. Wolne mularstwo w Lubelszczyźnie, 1811—1822. Lublin 1933. Nakładem „Dzien. Urzędowego Woj. Lubel.". Str. 150.

OFENSYWA

EKSTAZY A RZECZYWISTOŚĆ

TRZEBA to skonstatować, że świat dziennikarski znacznie więcej teraz podróżuje po całym świecie Bożym, niż przed wojną. Namnożyło się bowiem na globie wiele takich makrokosmów państwowych, które z różnych względów potrzebując poparcia opinji publicznej na świecie (pożyczka...), na rozmaity sposób kultywują tak zwaną propagandę, inaczej mówiąc: *fishing of compliments*. Przeważnie więc zapraszają do siebie mniejsze lub większe ekipy prasowych potentatów dla sprezentowania im rezultatów swoich „radosnych twórczości" (Potemkino, potem... radjo). Im taki kraj ma więcej grzechów na sumieniu, tem namiętniej zaprasza gości na naoczne oglądanie postępów kulturalnych, jakie wyczynił w ostatniem *decennium*. Szczególnie, gdy państwo zmieniło swój ustrój (przepędziło dynastję) albo dynastja właśnie sprawuje się niezbyt przykładnie, albo przed wybuchem nowej rewolucji, lub zaraz po wybuchu, podczas t. zw. stabilizowania stosunków i krzepnięcia nowej „elity", dalej tuż przed bankructwem lub już po bankructwie, ewentualnie gdy się zamierza znowu gdzieś kogoś naciągnąć, wtedy zaprasza się kolejno z różnych sąsiednich lub nawet dalekich stolic ekipy dzielnych *spec'ów* pisarskich, którzyby te cuda, co widzieli, pięknemi potem słowy opisali. Pokłosie takich opisów z superlatywami prezentuje się następnie swoim wiernym poddanym, szczególnie pod nos wtykając obywatelom-opozycjonistom, poczem już spokojniej rządzi się dalej, znów improwizując i fuszerując, co się wlezie i zmieści.

Jak myśmy więc nieraz zapraszali, tak i nas oczywiście teraz zapraszają, szczególnie tam wszędzie, gdzie coś się pruje i psuje i coś nie klapuje. Gośćmi jesteśmy tem milej widzianymi, że jako gatunek świeży, młody i „wszechświatowo" debiutujący, po powrocie nie szczędzimy komplementów i superlatywów dla krajów amfitrjońskich: skąd tylko kto wróci, każda „liszka swój ogon chwali" i cuda, cudeńka rozpowiada... Dziwić się temu to też tak całkiem i nie można i nie wypada. Widywali przeważnie f a s a d y i to oświetlone, *a giorno*. *Cadillac*'i zawoziły, *Hispano-Suise* odwoziły, stale auty (często... autostrady), a wieczorami... rauty. Tu i ówdzie albo królowa z dworem (np. w Sardanji), albo prezydent z orszakiem, względnie miejscowy dyktator opatrznościowy, „*ghazi*" albo „*principe*" (jak w Macchiavell'u...). Jak się to i dziwić młodziakom potem, że za powrotem na szpalty cierpliwego papieru wylewane są entuzjazmy i ekstazy. Ten rozczulony Hiszpanją królewską za Primo de Rivery, a w rok potem w tej samej gazetce polskiej... następny upojony Hiszpanją republikańską za rządów Sancho Pansów. Z relacyj turystycznych tego jednego okazuje się, że dotychczas osławiona kociokwikiem Ryga jest jednak najpiękniejszem miastem obu hemisfer. Nigdzie niema tak pięknych nowych gmachów jak w... Albanji, natomiast najpiękniejsza plaża świata jest wyłącznie w uroczej... Estonji. Kapitan Lepecki nie ma dość słów zachwytu dla Syberyjskiej republiki radzieckiej, podczas gdy inny major czy pułkownik znalazł znów prawdziwe Eldorado w Boliwji względnie w Honduras. Ten upojony czarem krajobrazu Mandżuko, a tamten odnajduje niepospolity „wdzięk" u Łotyszów. Tego oczarowała dozgonnie Sowdepja, a tamtem nie rozumie, dlaczego nie zwiedza się masowo Nowej Zelandji albo też Australji całej. Przeważnie wszyscy nasi wojażerowie piszący oburzeni są tem, że tak mało nasz naród interesuje się Islandją względnie Irlandją, choć i od... Hondurasu „moglibyśmy się tego lub owego nauczyć", nie mówiąc już o Meksyku, oczywiście nowoczesnym. I również wszyscy nie mają dość słów zachwytu nad omal staropolską gościnnością, nadspodziewanie odkrytą a to w Sardanji (Caillavet i de Flers), a to u Finnów, a to u Bułgarów. Można być pewnym, że i stara, poczciwa Macedonja, zaprosiwszy piszących turystów z Polski, dobrzeby na tem wyszła i okazała się czemś w rodzaju „*Alices Wonderland*", czyli terenem ustabilizowanym i unormalizowanym jak w... bajce. Świadczy ta wrodzona, potężna i szczerozłota zdolność do uniesień z jednej strony o młodzieńczej chłonności i emocjonalności artystycznej, z drugiej zaś strony o pewnem, że się tak wyrazimy, piekielnem zblazowaniu szarą i do pewnego stopnia, że tak powiemy, cholerną rzeczywistością własnego *home! sweat home!* Każdego, co się zdole wyrwać poprostu na kilka dni z „ojczyzny łona" choćby do Sardanji, ogarnia i rozpiera jakiś szał radości, przyczem nie zbywa i na przypadkach lekkiego rozmiękczenia cerebralnego u nawet zatwardziałych... grzeszników... sceptyków.

Rekordu takiego ogorzenia galopującego i typowo miesięcznego (bo po miesiącu pobytu) dostarczył młody, sanatorny konserwatysta p. K. Prószyński swoją książeczką o... Palestynie. Kraj to jest, o którym wychodzi na świat mniejwięcej jedna książka, może nie dziennie, ale w każdym razie miesięcznie. Opisana, ofilmowana jest tam teraz każda piędź ziemi i pod względem reklamy wyeksploatowana, co się zowie. Coś nowego powiedzieć na ten temat byłoby pod k a ż d y m względem tedy trudno. A jednak już świeżo po braciach Tharaud, po księżnej Bibesco, po Zweigu powiedział znów Francuz p. Jean de Kerlecque („*Israel en Palestine*"). Pan Prószyński popisał i popisał się tylko ekstazami. Bez cienia własnego osądu dał się biernie, po „sławiańsku" zasuggestjonować, zahypnotyzować gościnnemu otoczeniu..., „prezesowi" Farbsteinowi... i grubej książce... Millsa... i nie odmówił sobie przy tej okazji i aroganckich wierzgań w stronę publicystów z obozu narodowego, ale... polskiego, w tej materji od lat się grzebiących...

Rozczuliło młodzieńca impulsywnego to przedewszystkiem, że może z chalucami i komunistami „rozgadywać" po rusku i po polsku... Więc że niby ten cały „Erec", to jakieś *dependance* Polski..., rozszerzona aż nad Morze Śródziemne Judosławja... Podobnemu omanieniu uległo też kilku dziennikarzy polskich, którzy popłynęli na „Polonji" i dojechali aż do archipelagu Absurdów. Książę Radziwiłł Sierotka pielgrzymował jak tysiące innych Polaków wszystkich generacyj do Grobu Pańskiego w Palestynie, a ci młodzi turyści wyłącznie do kolebki regeneracji i prepotencji Machabojów. Młode Lachy martyrologji Fellachów nie raczyły nawet zauważyć.

Ostatni tydzień w Palestynie, bunt Arabów i krwawe rzezie w Palestynie chyba ich wytrzeźwiły jednak z upojenia, tak słabem i lichem winem, jak ten „karmel" *made in Tel-Awiw*.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Wywiad u sanatora.

— Jaki jest najnowszy model radosnej twórczości ustrojowej na najbliższą piatiletkę?

— Monopol.

Tutaj szanowny rozmówca rozwinął myśl w kaskadzie słów, przepojonych entuzjazmem:

— Ten pierwszy człowiek, który wódkę nazwał „monopolką", ani wiedział, że rzucił genjalną podstawę idei M o n o p o l s k i. Tak, panie, twój Wszechpolak i Wszechpolka— to rzeczy przebrzmiałe. Teraz Monopolak, Monopolka, właściwie Monoobywatel. Przyszła kolej na zmonopolizowanie obywatelstwa. Jak wódka, tytoń, zapałki, tak zmonopolizowana będzie gazeta, książka... Jak telegraf, kolej, poczta, tak zetatyzowane będą wszystkie procesy życia: wychowanie, nauka, literatura. Cała produkcja: od zapałki do obywatela.

— To i konsumcja?!

— Tak, wszystko. Pozostanie czysta idea państwa. Czysta wyborowa.

— Ale czy starczy państwu sił na to wszystko?

— Będzie się wypuszczać monopole w dzierżawę. Czyż niema kapitalistów żydów?

*

Zdarzenie autentyczne.

W jednym z sądów grodzkich toczy się sprawa przeciwko grupie studentów, oskarżonych o zakłócenie porządku publicznego.

— Studenci wznosili okrzyki antypaństwowe...—zeznaje przesłuchiwany, jako świadek, posterunkowy policji państwowej.

— Jakież to okrzyki? — zapytuje adwokat.

— Ja to sobie zapisałem — odpowiada policjant, wyciągając z kieszeni zmięty notes i zakładając na nos okulary — aha, wołali: „niech żyje a ł a t o m j a!".

— Jak?! — dziwi się obrońca.

— Nie, nie, przepraszam — poprawia się świadek — oni krzyczeli: „niech żyje a n a t o m j a!".

*

Syjonistyczny „Nasz Przegląd" (8. XI. b. r.) pisze:

„Wczoraj w Wyższej Szkole Handlowej młodzież z pod wiadomego znaku wszczęła hecę antyżydowską. Rozrzucano ulotki bojkotowe, a następnie zażądano, aby Żydzi siedzieli osobno po lewej stronie. Należy zaznaczyć, że m ł o d z i e ż z L e g j o n u M ł o d y c h m a n i f e s t a c y j n i e z a j ę ł a m i e j s c a o b o k Ż y d ó w."

W y t r e s o w a l i tę „młodzież państwową" (poszukującą posad). Nie ma co mówić...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.